


Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

**Redakcya i administracya KRAKÓW XV.**
**Nowowiejska 83** (dom własny) **Telefon Nr. 479.**

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

**Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.**
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

**Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.**

Rok VIII. Kraków, 29 lipca 1911. Nr. 30.

# Bójka na zjeździe dziennikarskim.

(Treść na str. 2).



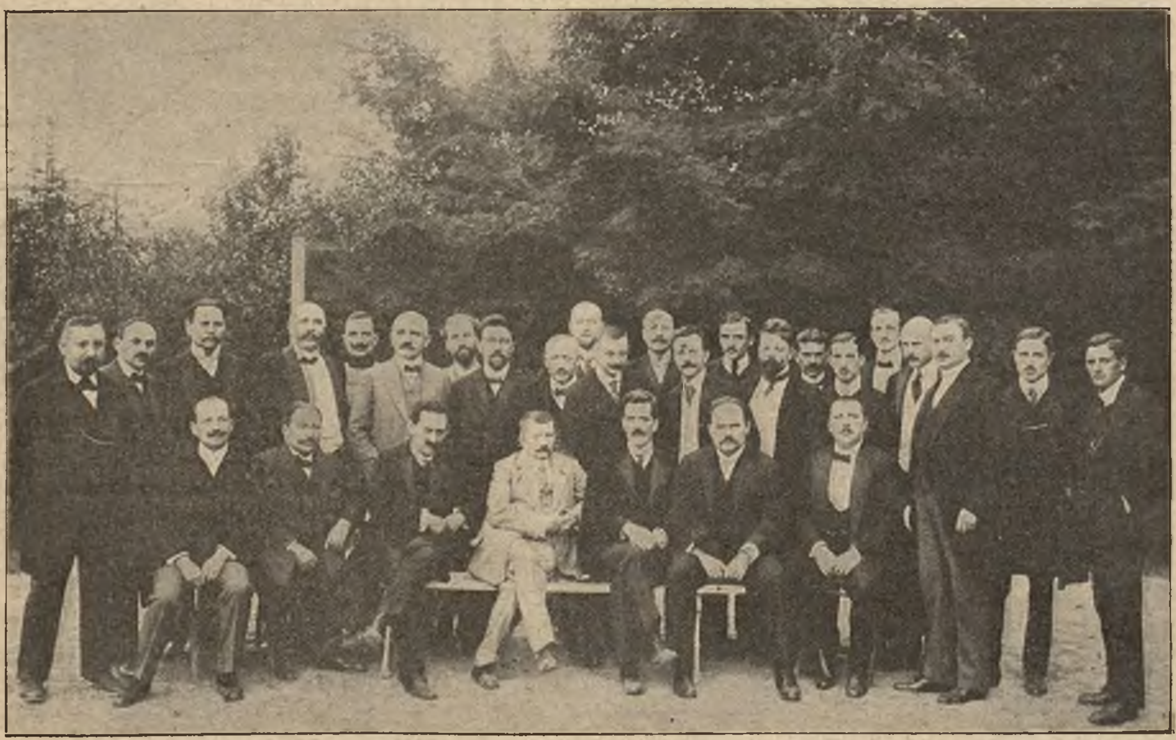
## Bójka na zjeździe dziennikarskim.

(Do illustracyi tytułowej).

Tegoroczny zjazd dziennikarzy słowiańskich w Belgradzie, zjazd, który obfitował w dość niesympatyczne momenty, miał epilog niesłychanie skandaliczny; epilog ten zdyskredytował ostatecznie wartość tego rodzaju zjazdów. Pokazało się też, jak słusznie postąpiły polskie korporacye dziennikarskie, iż wstrzymały się od urzędowego udziału w zjeździe.

Jak wiadomo, nie tyle ważną, ile krzykliwą rolę odgrywał na tym zjeździe dziennikarz rosyjski Wergun, pochodzący z galicyjskich Rusinów. Ten to Wergun przyplątał się już po zakończeniu zjazdu do grupy dziennikarzy serbskich i rosyjskich, którzy dyskutowali w jednej z restauracyi o sprawach politycznych i o wynikach zjazdu. W toku dyskusyi jeden z dziennikarzy, Serb Kovaczevicz, zarzucił Wergunowi, że w czasie pamiętnego przesilenia aneksyjnego odegrał bardzo dwuznaczną rolę, niezgodną z głoszonemi przezeń zasadami słowianofilskiemi. W odpowiedzi na to Wergun wymierzył Kovaczeviczowi policzek a równocześnie zażądał, by przeciwnik jego twierdzenie swe udowodnił. W tym celu miano się zejść następnego dnia rano. Tymczasem o naznaczonej godzinie, gdy Wergun z paru osobami siedział na werandzie restauracyi hotelowej, zaszedł go Kovaczevicz niespodzianie z tyłu i boksem kilkakrotnie uderzył po głowie. Obecni poskoczyli mu z pomocą, rozbroili Kovaczevicza a wezwane pogotowie ratunkowe opatrzyło rany Werguna.

Tak niepolityczne rozwiązanie politycznego sporu będzie musiało oczywiście pójść przed kratki sądowe, jako na najodpowiedniejszy teren do rozsądzania tego pokroju ludzi i tak pojmowanych spraw.



**Sejm polskich uczonych:** Członkowie sekcyi stomatologicznej (dentystycznej) z prof. dr. Łepkowskim (X) w pośrodku.

## Zjazd koleżański.

Jak corocznie z początkiem wakacyi odbyło się i w tym roku kilka zjazdów koleżańskich, w rocznicę egzaminu dojrzałości. Tradycyjny ten zwyczaj przyjął się ogólnie i cieszy się ogólną sympatyą.

Jednym z ostatnich był zjazd w Przemyślu byłych uczniów tamtejszego gimnazyum, którzy przed 25 laty złożyli egzamin dojrzałości. — Wzięło w nim udział grono profesorów oraz 30 kolegów, z których wszyscy zajmują dziś wybitne w społeczeństwie stanowiska.

Uczestnicy zjazdu zebrali się w nowym gmachu gimnazyalnym przy ul. Słowackiego, gdzie zebranie zagaił kolega Wojtasiewicz, poczem b. profesor dr. Warmski odczytał katalog z VIII klasy i powitał serdecznie swych dawnych uczniów.

Stąd udali się wszyscy na dziękczynne nabożeństwo do kościoła OO. Franciszkanów, a następnie na nabożeństwo żałobne za zmarłych kolegów i profesorów do grecko-katol. katedry. — Po nabożeństwach zwiedzili koledzy dawny budynek gimnazyalny, zamieszkany dziś przez ludzi prywatnych; tu z rozrzewnieniem przypomnieli sobie dawne czasy, kiedy przed laty na ławie szkolnej dzielili studencką dolę i niedolę. W dawnej sali gabinetowej znajduje się dziś muzeum kościelne, w którem ks. biskup Fiszer ze znaną sobie uprzejmością oprowadzał zebranych, okazując im cenne zabytki sztuki kościelnej, zebrane w kościołach dyecezyi przemyskiej.

W południe odbył się wspólny obiad w kasynie wojskowem, podczas którego wniesiono wiele serdecznych toastów, a zarazem zebrano dla biednych uczniów gimnazyalnych kwotę 104 kor. Po południu zwiedzili koledzy okolice miasta, a wieczorem po wspólnej kolacyi serdecznie się pożegnali.

## Wystawy w Krakowie.

Równocześnie ze zjazdem lekarzy i przyrodników polskich otwarto w Krakowie dwie bardzo interesujące, ze sprawą medycyny i przyrody ściśle związane wystawy, a to wystawy balneologiczną i farmaceutyczną. Warto je zwiedzić, gdyż dają doskonałe pojęcie o postępie w dziedzinie galicyjskiego zdrojownictwa, tej tak ważnej gałęzi przemysłu naszego i w dziedzinie wytwórczości lekarstw, również coraz piękniej się rozwijającej.

Wystawa balneologiczna urządzona została staraniem Tow. balneologicznego z dr. Frączkiewiczem, dr. Zanietowskim i p. Hoffem na czele. Inicyatorom chodziło o przekonanie szerokich sfer, iż zarzuty, podnoszne przeciw krajowym zakładom kąpielowym, uzdrowiskom i zdrojowiskom, nie są oparte na słusznych podstawach, że przeciwnie postęp na tem polu w ostatnich paru latach dokonany, jest bardzo znaczny.

Najpoważniej wystąpiło Zakopane, które reprezentuje stacya klimatyczna, sanatoryum dra Dłuskiego i zakład dra Chramca. Okazale wystąpiła także Krynica, Żegiestów, Rymanów, Rabka, Szczawnica, Kosów, Niemirów, Truskawiec, Iwonicz, Wisła, Swoszowice, Jaworze i inne.

Towarzystwo balneologiczne przedstawiło na wystawie swoje liczne wydawnictwa, propagujące rozwój wód krajowych.

Niemniej okazale reprezentuje się wystawa farmaceutyczna, która zajęła szereg sal nad wystawą balneologiczną, t. j. na II piętrze gmachu Akademii handlowej. Po raz pierwszy urządzona w takich rozmiarach, ma ta wystawa wykazać, że apteczny przemysł polski, zarówno w Galicyi jak w Królestwie, zdołał się już częściowo wyzwolić z pod przewagi niemieckiej. Pod tym względem spełnia wystawa swe zadanie doskonale.

Wystawców jest dużo, dużo też okazów. Są więc między nimi wyroby wielu aptek krakowskich, lwowskich, podgórskich i z prowincyi, są liczne wyroby fabryk mydła, wód mineralnych, przetworów chemicznych, jak St. Rożnowskiego, Rzący i Chmurskiego, znanej fabryki lwowskiej „Tlen“.



**Zjazd koleżański:** Byli uczniowie gimnazyum w Przemyślu w 25 lat po egzaminie dojrzałości, z kilku profesorami w pośrodku.

krakowskiego zakłaeu „Laktol“, laboratoryum chemicznego dra Drobnera, dalej z Warszawy fabryki Strzeleckiego, Kempnera i laboratoryum chemicznego.

Bardzo poważne miejsce zajmuje wystawa istniejącej od 1855 r. w Warszawie firmy, przemienionej ostatnio w „Tow. akcyjne Fr. Karpiński“. Jest to przedsiębiorstwo, prowadzące aptekę, fabrykę wód mineralnych sztucznych i fabrykę środków leczniczych. Obrót roczny tego przedsiębiorstwa, na którego czele stoją pp. Fr. Karpiński i Br. Koskowski, wynosi $1\frac{1}{2}$ miliona koron; Towarzystwo zatrudnia około 100 osób; firma wspomniana, dzięki doskonałemu kierownictwu, rozwinęła się na przedsiębiorstwo prawdziwie europejskie, konkurujące skutecznie z wyrobami obcymi.

Publiczność zwiedza bardzo licznie obie wystawy, gdzie może się naocznie przypatrzyć postępowi krajowego przemysłu.



Zgon młodego artysty: Ś. p. Władysław Kwiatkiewicz.

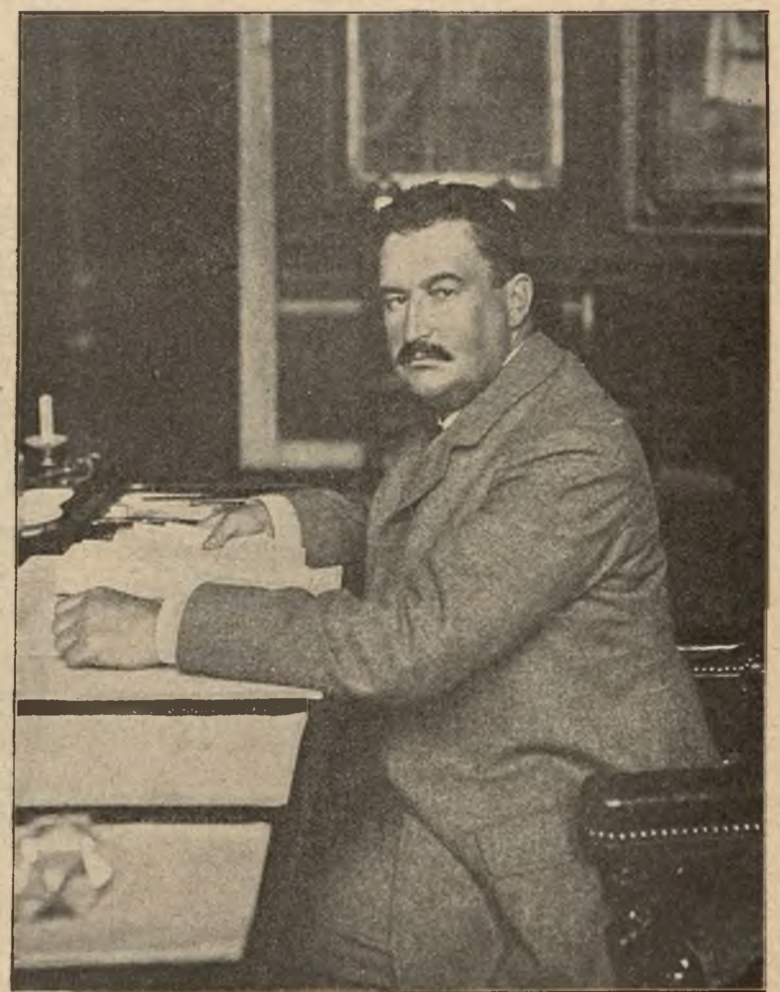
## Nowy prezydent austryackiej Izby poselskiej.

Szesnastym z rzędu prezesem Izby poselskiej austryackiego parlamentu, uwzględniając tylko osoby, jest dr Juliusz Sylwester, jeden z najwybitniejszych członków Zjednoczenia ogólno-niemieckiego, czyli tak zwanej grupy Schönererowców. Najzdolniejszy i najpierwszy z uczniów starego Jerzego Schönerera, z czasem porzucił swego mistrza, nie mogąc znieść jego niebotycznej manii wielkości, propagował jednak dalej jego myśli polityczne, które on sam z niebywałą odwagą wszczepił przed laty trzydziestu kilku. Wszystko, co jest dziś zdolniejszego w Związku narodowym niemieckim, to uczniowie Schönerera, jego adjutanci i pomocnicy w pierwszych latach agitacyi i polityczni spadkobiercy.

Dr. Julian Sylwester jest rodowitym Wiedeńczykiem. Urodzony nad modrym Dunajem dnia 30 czerwca 1854 roku, tutaj skończył gimnazyum i wydział prawniczy. Już w czasie swych studyów akademickich wstąpił do obozu narodowo niemieckiego i należał do najgorliwszych agitatorów tego kierunku. Kancelaryę adwokacką otworzył w Salcburgu, który wówczas lepiej nadawał się do propagowania haseł narodowych niemieckich, niż sam Wiedeń. Zrobił też tutaj, jak to powiadają, karyerę: wszedł do rady miejskiej, został wiceburmistrzem, wreszcie w r. 1897 uzyskał mandat do Rady Państwa, który do dnia dzisiejszego piastuje.

W parlamencie zwrócił dr. Sylwester na siebie po raz pierwszy uwagę już w kilka miesięcy po wstąpieniu w skład Izby, był bowiem sekundantem osławionego Wolffa w pojedynku z ówczesnym premierem Kazimierzem hr. Badenim. Zdolny i pracowity, cieszący się nadto poparciem swego stronnictwa, posuwał się szybko naprzód, aż wreszcie zwycięstwo Związku narodowego niemieckiego przy tegorocznych wyborach zapewniło mu możność zdobycia najwyższej godności parlamentarnej.

Wysoki, dobrej tuszy, o inteligentnej i charakterystycznej twarzy, brunet jeszcze nie siwiejący, przedstawia dr. Sylwester raczej typ celtycko-alemański, niż typ Niemca austryackiego. Znając jego zdolność i usposobienie przypuszczają wszyscy, iż będzie daleko lepszym prezesem Izby poselskiej, aniżeli dr Pattai, który nie posiadał wcale kwalifikacyi na kierownika tak różnorodnego zbiorowiska, jakiem jest austryacka Rada Państwa.



Nowy prezydent austryackiej Izby poselskiej: Dr. Juliusz Sylwester.

## Zgon młodego artysty.

Bolesnym echem ozwała się w całym świecie artystyczno-teatralnym, zwłaszcza zaś we Lwowie, wiadomość o przedwczesnym zgonie młodego a wielce utalentowanego artysty dramatycznego, Władysława Kwiatkiewicza. Wiadomość ta smutna nie przyszła niespodziewanie. Już od dłuższego czasu ś. p. Kwiatkiewicz był nieuleczalnie chory. Organizm toczyła gruźlica i dni jego były policzone.

Władysław Kwiatkiewicz był dzieckiem Lwowa. Tam się kształcił i tam po ukończeniu szkoły średniej rozpoczął pracę na deskach scenicznych. Zwolna ale stale wybijał się młody aktor na czoło zespołu lwowskiego, dzięki wielkim zdolnościom, doskonałej, wytwornej dykcyi, dzięki nadzwyczajnemu zamiłowaniu sceny i sztuki dramatycznej.

Repertuar miał obfity i piękny. Grywał role charakterystyczne, dział więc, w którym przy tak wybitnych siłach, w jakie obfituje teatr lwowski, wybić się bardzo trudno. Jeśli więc ś. p. Kwiatkiewicz i w tych warunkach zdołał się zaszczytnie wyróżnić, jeśli potrafił zyskać uznanie surowej krytyki i niepodzielną sympatyę publiczności, to dowód, że obdarzony był zdolnościami nieprzeciętnej miary.

Z ról jego, bardzo wielu, wymienić należy przedewszystkiem pamiętną postać Brodiagi w „Sybirze“ Maskoffa, dalej Jussowa w „Intratnej posadzie“, Korniłowa w „Tamtym“, stróża Jana w „Popychadle“ i w. i.

Przez dłuższy czas pracował ś. p. Kwiatkiewicz w charakterze reżysera amatorskiego kółka dramatycznego w Kasynie miejskiem. Uczynny i chętny śpieszył też zawsze z czynnym współudziałem w rozlicznych wieczorach dobroczynnych, zabawiając publiczność doskonałymi monologami lub znakomitą deklamacyą, której był mistrzem prawdziwym.

Poza tem działał ś. p. Kwiatkiewicz bardzo skutecznie jako nauczyciel wymowy i deklamacyi, a jego szkoła dramatyczna należała do najlepszych we Lwowie.



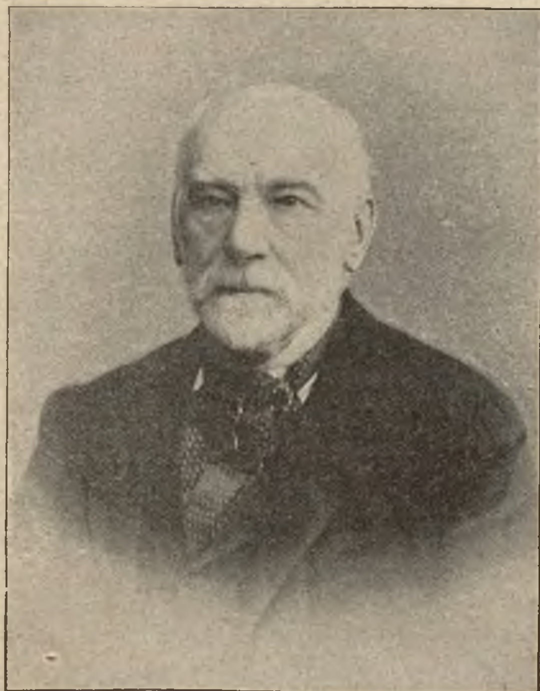

Wystawy w Krakowie: Sala zdrojowisk na wystawie balneologicznej.




Wystawy w Krakowie: Główna sala wystawy farmaceutycznej.

Lubiano go ogólnie i ceniono z powodu szczerości charakteru i wielkiej prawości.

Cechował go dalej humor niewymuszony i szczery nietylko na scenie ale i w życiu prywatnem, wielka uczynność i serdeczność w stosunkach koleżańskich. Zgon jego osieroca wdowę, artystkę dramatyczną



W dziewięćdziesiątą rocznicę urodzin: Prof. dr. Antoni Małecki.

panią Eugenię z Schuppów, siostrę śpiewaczki operetkowej Heleny Schuppównej.

---

## Technicy wiedeńscy w Krakowie.

Przez dwa dni bawiła w Krakowie wycieczka studentów politechniki wiedeńskiej celem zwiedzenia ważniejszych prac technicznych, prowadzonych obecnie w naszem mieście. W wycieczce uczestniczyło 47 studentów i 6 profesorów, pod przewodnictwem profesora budowli wodnych, starszego radcy budownictwa dra Haltera.

Po dwudniowym pobycie na Morawach, gdzie również zwiedzano budowle wodne, przybyli goście wiedeńscy w sobotę rano do Krakowa. Oglądano naprzód prace ziemne i betonowe około zasklepienia Rudawy, oraz nowe koryto tej rzeki, następnie wysłuchano fachowego odczytu radcy dworu Ingardena „o budowlach wodnych w Galicyi", wygłoszonego w sali towarzystwa technicznego, poczem w sali restauracyjnej hotelu Pollera odbył się bankiet, wydany przez gminę miasta Krakowa.

Następnego dnia zwiedzili uczestnicy wycieczki





Wystawy w Krakowie: Fragment wystawy farmaceutycznej.

prace nad Wisłą, resztę zaś czasu obrócili na zwiedzenie Krakowa i jego osobliwości, poczem udali się w dalszą podróż.

Rycina nasza przedstawia grupę studentów wiedeńskich na moście nad Rudawą pod Zwierzyńcem.



Technicy wiedeńscy w Krakowie: Grono studentów politechniki wiedeńskiej wraz z profesorami na moście nad Rudawą pod Zwierzyńcem.

---

## W dziewięćdziesiątą rocznicę urodzin.

W dniu 16 lipca b. r. obchodził we Lwowie rzadką dziś uroczystość, bo dziewięćdziesiątą rocznicę urodzin, znakomity krytyk i filolog, nestor pisarzy polskich, profesor dr. Antoni Małecki.

Urodzony w r. 1821 w Objezierzu pod Poznaniem, straciwszy wcześnie ojca, administratora dóbr jenerała Węgorzewskiego, wychowywał się Małecki przy matce, następnie po jej śmierci w r. 1834 pod opieką ks. Józefa Grabowskiego. Ukończywszy szkoły w Poznaniu, słuchał od r. 1841 do 1845 wykładów filologii i historyi na uniwersytecie berlińskim, a po zdaniu egzaminu rządowego pełnił przez lat pięć obowiązki nauczyciela gimnazyalnego w Poznaniu.

W r. 1850 powołano go na profesora filologii klasycznej w Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie gruntowną wiedzą zyskał sobie ogólne uznanie. Bawiąc w Krakowie urządził tu seminaryum filologiczne i brał udział w reorganizacyi gimnazyum św. Anny, lecz już w r. 1853, skutkiem pokątnych intryg, otrzymał uwolnienie z zajmowanego stanowiska wspólnie z Polem, Helclem i Zielonackim.

Aby wynagrodzić uczonemu wyrządzoną mu bezpodstawnie krzywdę, ofiarowało mu ministerstwo oświaty katedrę filologii w Insbrucku, gdzie bardzo wydatnie pracował od r. 1854 do 1856, zajmując się równocześnie studyami nad językiem starosłowiańskim i przygotowując do objęcia przygotowanej katedry we Lwowie; otrzymawszy nareszcie tak upragnione przeniesienie, wykładał Małecki we Lwowie literaturę polską (1856—1873). W r. 1872 piastował godność rektora lwowskiej wszechnicy, w rok zaś potem, t. j. w r. 1873 usunął się w zacisze domowego ogniska, aby wszystkie swe siły poświęcić pracy literackiej. Ponadto był Małecki także członkiem galicyjskiej Rady Szkolnej krajowej, a do dnia dzisiejszego pełni obowiązki zastępcy kuratora Zakładu narodowego imienia Ossolińskich.

Dożywotni członek Izby Panów, członek krakowskiej Akademii Umiejętności, były poseł na sejm krajowy, członek Rady miejskiej lwowskiej od roku 1871 przez ośm pełnych kadencyi, oto pola, na których sumiennie i uczciwie pracował dzisiejszy Jubilat przez z górą pół wieku. Nie szczędzono mu w nagrodę dowodów uznania — a miasto Lwów obdarzyło go najwyższym zaszczytem, to jest godnością honorowego obywatela.

Prócz licznych prac naukowych, ogłaszanych po rozmaitych czasopismach krajowych i zagranicznych, wydał Małecki cały szereg rozpraw i dzieł z zakresu literatury polskiej, prawdziwie zaś epokową była jego „Gramatyka polska" wydana w r. 1863. Dzieło to, zawierające pierwsze umiejętne opracowanie wszystkich działów tego przedmiotu, znane jest każdemu Polakowi, zwłaszcza ze skróconego układu, używanego przez lat kilkadziesiąt w galicyjskich szkołach średnich.

Nic też dziwnego, że w dniu urodzin do skromnej pracowni uczonego, która mieści się w lwowskiem Ossolineum, popłynęły życzenia z całej Polski i zagranicy. W tem święcie wzięły udział wszystkie sfery naszego, społeczeństwa wyrażając hołd pracy i zasłudze i pragnienie, by długo jeszcze w zdrowiu i czerstwości danem Mu było patrzeć na obfite owoce, jakie krajowi i narodowi przyniosła Jego siejba!

Cześć Mu i chwała!

---

WALERY PRZYBOROWSKI.

# CZERWONA MARA

## Powieść z dnia wczorajszego.

11)

A Anielka tymczasem uspokoiła się zupełnie i znowu chodząc po pokoju z kąta w kąt, mówiła już tonem chłodniejszym:

— A potem, po co ja mam ukrywać? Ja chcę wyjść za mąż. Dosyć mam już tego panieństwa.

— Chcesz wyjść Anielko za mąż? — przerwała pani Szmid te słowa, pokrywające jej dobrą i pulchną twarzyczkę rumieńcem wstydu — to dobrze, to bardzo dobrze. Niczego więcej w życiu nie pragnę, jak widzieć twój los ustalonym.

— I mama wyjście za mąż nazywa ustaleniem losu?

— A naturalnie.

— Głupstwo! mnie o żadne ustalenie losu nie idzie. Chcę mieć męża i koniec, chcę mieć mężczyznę, którego... no! trzeba wszystko powiedzieć, po co mam ukrywać? którego... kocham, który mi się jednem słowem podoba, do którego mam pociąg.

— Czy powiesz mi Anielciu, kto jest tym szczęśliwym, że tak śliczną pannę bierze za żonę?

— Śliczną pannę... Kto jest tym szczęśliwym? Któż to wie, czy on będzie szczęśliwy i ja przy nim. To tylko pewna, że jak się sobie nawzajem sprzykrzymy, jak będziemy mieli siebie dosyć, to się rozejdziemy bez żadnych awantur i bez żadnych rozwodów.

— Któż słyszał przed ślubem myśleć o rozwodzie?

Anielka nic zrazu na to nie odrzekła i widocznie zamyślona, rozważając coś głęboko, poczęła chodzić po pokoju i po dobrej chwili namysłu, rzekła do matki ze śmiechem.

— Nie lękaj się mamo, stanie się zadość twoim żądaniom. Weźmiemy ślub, ślub kościelny, ksiądz proboszcz pobłogosławi nas. Lecz... my się niedługo rozejdziemy.

— Wszak mówisz, że go kochasz?

— O tak... w tej chwili kocham go... podoba mi się... nawet bardzo... ale któż zaręczy za jutro! — dodała tonem pełnym melancholii.

— Powiedz że mi, któż jest twym wybranym?

— Chcesz mama wiedzieć?

— Oczywiście, że chcę.

— A więc... jest nim Antek Wiśniewski.

Wymawiając to nazwisko, zarumieniła się jak wiśnia i spuściła oczy. Pani Schmid klasnęła w pulchne łapki i zawołała:

— Jakto, ten z długimi włosami, chudy, zaniedbany i w wykrzywionych butach?

— Ten, w wykrzywionych butach — odrzekła, śmiejąc się głośno.

— Miałaś też kogo wybrać.

— Moja mamo — zawołała Anielka, ciągle śmiejąc się — serce nie sługa, nie zna, co to pany. Ale dość tej rozmowy. Już teraz wiem, czego się mam trzymać i co robić.

### XV.

Pan Miller był nadzwyczajnie niezadowolony z całej tej gromady gości, którzy zjechali się do Gór, oczekując z utęsknieniem na otwarcie testamentu i na spadek, który liczono na krocie tysięcy rubli. Nie gadał prawie z nikim, pokłócił się już z Antkiem Wiśniewskim i stryjaszkiem Józefem i mścił się na biednej ciotce Filomenie, a swej żonie, którą traktował jak niewolnicę, a ona jak niewolnica z pokorą i poddaniem się znosiła jego kaprysy i wybuchy brutalnego gniewu. Całe rano słychać było, jak kaszlał i pluł i krzyczał na swą żonę, a potem ubrany w biały kitel przychodził na śniadanie gniewny, chmurny, witał obecnych niemieckiem: „morgen!" i siadał do mocno mlecznej kawy i pił, nic nie gadając, ale mierząc zato złem okiem współbiesiadników.

Stanisława ciągle nagabywał to o tego, to o owego z przypuszczalnych sukcesorów. Żżymał się na pobyt w Górach Siergieja Bolesławicza:

— Czego ten dureń tu siedzi? Przecież on nie ma żadnego prawa do sukcesyi, nie jest krewnym żadnym. Objada nas tylko, a każda łyżka zupy, każdy kieliszek wódki, który wypija, zmniejsza spadek. Czegóż pan trzymasz tego Kerla, darmozjada tutaj?

— Mamże go wyrzucić za drzwi? — pytał Stanisław.

— A oczywiście.

— Nie, tego nie zrobię. Prawa gościnności są święte.

— Głupia jest ta wasza polska gościnność! — wołał gniewnie Miller.

— Nie powinieneś pan na nią wymyślać, bo gdyby nie ona, tobyś pan w Polsce nie siedział, z ciotką Filomeną się nie ożenił i sukcesyi po stryju Teodorze nie brał. A przytem, kto wie, może Siergiej Bolesławicz ma jakie prawa do spadku.

— Z jakiego tytułu?

— Z jakiego tytułu, ja nie wiem, ale powiada, że jest Kozłowski i że znał stryja Teodora.

— Cóż u dyabła! w takim razie wszystkie włóczęgi, z któremi znał się ten sknera Teodor, mieliby prawo do spadku. Albo ta baba, ta przekupka z Pragi, co się mieni być żoną Zygmunta. Czy pan myślisz, że i ona ma jaki zapis?

— Nie wiem, ale sądzę, że jeśli istotnie była żoną stryja Zygmunta, to się jej będzie jakaś część należała.

— Ale ona nie udowodni tego, że była żoną Zygmunta?

— Nie wiem. Mówiłem z nią o tem i ona twierdzi, że metrykę ślubną ma ze sobą i we właściwym czasie, komu należy, okaże.

— Donner Wetter Sakrament! — zaklął Miller, puścił kłęb dymu z cygara i po chwili spytał:

— A co to za baba ta pani Schmid?

— Gospodyni tutejsza.

— Słyszałem, że była przyjaciółką nieboszczyka.

— Może być.

— Czemu jej pan wraz z tą jej wyniosłą córeczką, co ma minę hrabiny, nie wypędzisz? Objadają nas tylko.

— Była gospodynią u stryja Teodora i wypędzić jej nie mogę.

— Naturalnie, bo ta jej córeczka na waćpana, jak i na tego durnia Wiśniewskiego i na łotra Jasińskiego sieci zarzuca. Mądra zalotnica, a wy jak wróble dajecie się brać na lep jej słodkich kokietujących wejrzeń. To szczwana zalotnica.

— Przepraszam, ale panna Aniela Schmid jest uczciwą osobą i daruje pan, że tego rodzaju wyrażeń o niej słyszeć nie życzę sobie. Wyrzekłszy te słowa Stanisław wstał, ale wyrazy Millera, że panna Aniela kokietuje Antka Wiśniewskiego i Adama Jasińskiego, zabolały go i sprawiły mu dotkliwą przykrość. Nie kochał tej dziewczyny to prawda, a jednak ogień go ogarniał na myśl, że ona może uśmiechać się i okazywać przychylność innemu. Jeszcze Antek Wiśniewski, no! porządny chłopak, choć ma zupełnie we łbie przewrócone, wygaduje także na burżujów, ale jest w gruncie rzeczy uczciwym człowiekiem i dobrym Polakiem, choć mocno czerwonym, ale ten Jasiński! Dyabli wiedzą, co on za jeden, urzędnik policyi, mocno przez Siergieja Bolesławicza podejrzywany o szpiegowstwo.

Wiadomość tę, że panna Aniela okazuje pewne względy Jasińskiemu, otrzymał Stanisław jeszcze przed podsłuchaniem tajemniczej rozmowy Jasińskiego z Litwakiem Michaiłem Srulowiczem Mojsiejewem i innymi w parku, choć więc w tej chwili nie miał namacalnego dowodu, że ten kuzynek jest co najmniej prowokatorem, wszelako całe zachowanie się pana Adama Jasińskiego wzbudziło podejrzenie i obrzydzenie w Stanisławie. Teraz zwłaszcza, kiedy Miller mu powiedział, że Anielka nie jest obojętną na zalecanki „wolnonajemnego", obrzydzenie to i oburzenie przybrało formę dość ostrą. Po czął Stanisław w głębi duszy narzekać na kobiety, przypominać sobie wszystkie sentencye o nich filozofów, poetów i moralistów, jakie kiedykolwiek czytał lub słyszał. W swym zgorzkniałym pesymiźmie, mówił sobie:

— Kobieta powinna być ozdobą i słodyczą tego marnego życia, a ona jest jego trucizną i jadem.

I zapytywał się, jakim sposobem rozumna i wykształcona panna, bo ostatecznie Anielka taką była, może znajdować przyjemność w rozmowie i kokietowaniu takiego durnia, jakim był Jasiński. I odpowiadał sobie:

— Otóż to! słusznie filozofowie i poeci powiadają, że kobieta jest zagadką!

Oburzenie i gniew w Stanisławie wzrosły do najwyższego stopnia, gdy wysłuchał tajemnej narady Jasińskiego w parku i jego projektów napadnięcia na dwór w Górach i stworzenia rzeczypospolitej proletaryackiej. Przez chwilę obaj z stryjaszkiem Józefem nie mogli sobie zdać sprawy z tego co słyszeli, poprostu nie mogła im się w głowie pomieścić możliwość czegoś podobnego. Stanisław był jakby oszołomiony i gadał:

— Ależ to warjactwo! chybaśmy się przesłyszeli!

Lecz stryjaszek Józef milczał przez chwilę, jakby nad czemś rozmyślał, a potem rzekł:

— Nie serdeńko, nie żadne to warjactwo i nie przesłyszeliśmy się wcale. Juścić, rzekłszy prawdę, warjactwo to jest, ale my żywszy w takich czasach, że najnieprawdopodobniejsze rzeczy, stają się prawdą i rzeczywistością. Teraz braciaszku wszystko bywszy możliwe.

I po chwili dodał:

— Ot, ładnego mamy krewniaczka.

I szli w milczeniu wśród szemrzących lip i sennych głosów usypiającej natury, a w głowie Stanisława huczała burza.

— I takiego łotra, bandytę, Anielka kokietuje! — myślał sobie.

I w głębi duszy prawie rad temu był, że takie zamiary żywi kuzynek Jasiński, bo tym sposobem pewny już był teraz, że go wyruguje z serca dziewczyny. Nie myślał o niebezpieczeństwie, grożącem jemu samemu i jego gościom, o strasznej katastofie, jaka może wyniknąć, ale wziął w nim górę egoizm zakochanego, bo ostatecznie, choć nie przyznawał się do tego, był zakochany w Anielce.

Ale powoli otrząsnął się z tej mgły miłosnej, zaciemniającej mu głowę i zatrzymując się, spytał stryjaszka Józefa:

— Cóż teraz zrobimy?

— Niby z czem serce?

— Z tem, cośmy słyszeli. Czyż mamy pozwolić na to, by nas pozarzynano, jak baranów, bo z pewnością oni nas oszczędzać nie będą.

— Pewno, że nie będą.

— Więc cóż zrobimy?

Ale stryjaszek Józef szedł z głową spuszczoną i gładził swoją siwiejącą brodę litewską i mruczał coś pod nosem, nie odpowiadając na pytanie Stanisława. Po chwili dopiero zatrzymał się nagle i zawołał:

— Ot koroniarze! I miałaż być moja Litwa z nimi szczęśliwą, co? powiedz ty mnie serce, sumiennie i szczerze, mogłaż być Litwa z wami szczęśliwą? Wy bywszy narodem zepsutym, wam śmierć patrzy z oczów, a Litwa jest jak on pień dębu odwiecznego, co z wierzchu zdaje się spróchniały i mchem pokryty, ale wewnątrz mający rdzeń zdrowy. U nas na Litwie takich hultai, jak ten Jasiński, niema...

Stanisław, któremu teraz dopiero zajaśniała w umyśle cała groza położenia i może w zbyt przesadnej formie mu się przedstawiała, aż zżymał się na tę obojętność stryjaszka Józefa na bezpośrednie, rzeczywiste fakty i niebezpieczeństwo, a natomiast zapuszczanie się w puste i bezcelowe, jak sądził, rozmyślania o wyższości moralnej Litwy.

— Ależ stryjaszku! — zawołał z widoczną niecierpliwością — teraz nie czas o tem myśleć, który naród jest moralniejszy, ale o niebezpieczeństwie, które nam grozi.

— Taj to prawda — odrzekł stryjaszek Józef tonem spokojnym, ziewając skrycie — tylko widzisz serdeńko mnie okropnie spać chce się.

— Tak, stryjaszek chcesz zasypiać, a tymczasem te zbóje cię zarżną.

— Zarżnąć dzisiaj, sercež ty moje, oni mnie nie zarżną, poczekają aż będziemy mieli bumażki. Możemy więc dziś spać spokojnie.

— Ale cóż jutro zrobimy?

— Ja bo braciaszku, zawsze trzymający się tej zasady, że niech jutro samo myśli o sobie. Ale skoro ty żądający rady, no, to radźmy.

I po chwili dodał:

— Najgorsze to jest, że oni zamierzający zabrać pieniądze, a mnie pieniędzy mieć chce się, żeby ożywić moją Litwę ukochaną.

— Więc trzeba temu zapobiec, trzeba się bronić.

— Taj pewno, że trzeba się bronić. Ja moich pieniędzy nie mam zamiaru im oddać. O nie! nie dam. Żeby ich... psiakrew! pokręciło!

Widocznie myśl, że mogą mu zabrać pieniądze w najwyższym stopniu go oburzyła, bo ożywił się, klął, targał swą długą brodę i sękatą pałką zawzięcie wywijał, strącając liście z lip i płosząc wrony, noclegujące na ogromnej topoli.

— Możeby trzeba, mówił Stanisław — uwiadomić o tem wszystkich? jak stryjaszek myślisz?

— A to po co?

— Coś poradzą... wszak niebezpieczeństwo jest wspólne.

— Co ci poradzą? może ten zapasiony wieprz Miller?

— Hm!... ma on pewien, niewytłómaczony dla mnie, wpływ na Jasińskiego, który się widocznie boi swego wujaszka. Skromniutki jest przy nim i małomówny...

— Taj, że ma wpływ, to ja wiem! Zachciałeś! jakże niema mieć wpływu, kiedy mi sam Miller mówił, że jest dobrze z oberpolicmajstrem warszawskim i wyrobił Jasińskiemu posadkę w policyi.

— Tak? nie wiedziałem o tem.

— A tak, serce.

— No, to może, jak się powie o tem Millerowi, to on Jasińskiego utemperuje.

— Głupstwo, serce... on Jasińskiego utemperuje, ale innych nie! I wiesz braciaszku, co Miller zrobiwszy? Oto zażąda od ciebie koni i pojedzie do miasta i policyę i wojsko tu sprowadzi. A tego trzeba unikać, bo widzisz serce, lekarstwo byłoby gorsze od choroby. Najlepiej takie sprawy samym załatwiać.

— Masz racyę stryjaszku, ale jak załatwić?

— Ja nie wiem jeszcze i mnie spać chce się okruteńko. Jak ja jutro wstawszy i obaczywszy jasne słonko, to ja będę wiedział, jak załatwić, a teraz ty serdeńko nic nie mów, ani Millerowi, ani temu czynownikowi Siergiejowi Bolesławowiczowi, ani kobietom. Przedewszystkiem z babami sza! Narobiłyby wrzasku, a co nam po wrzasku? My sobie jakoś radę damy. Od czegoż mój zdrowy rozum litewski?

Stanisław nic nie odrzekł, bo nie bardzo wierzył w ten zdrowy rozum litewski, a stryjaszek Józef gadał:

— Dziś noc spokojna będzie, a jutro zobaczymy. Ja się wyspawszy, rozmyślać pocznę i taki coś wymyślę.

— Niechże i tak będzie. Sądzę jednak, że Wiśniewskiemu Antkowi można będzie powiedzieć. To dzielny chłopak, chociaż jak wszystka młodzież teraźniejsza, ma przewrócone w głowie.

— Taj braciaszku, ty widzę myślisz, że dobrze jest na świecie, skoro gadający, że Wiśniewski ma przewrócone w głowie.

— Wcale tego nie myślę, żeby było dobrze na świecie.

— No to i dobrze gadasz. Bo moje serce litewskie zawsze oburzające się jest, ile razy widzi, że mocny gnębi słabszego, a to teraz tak ciągle bywa. Nie trzeba, żeby mocny gnębił słabszego i dopóty na świecie nie będzie po chrześcijańsku, dopóki będą mocni i słabi. Cóż, prawdę ja gadający?

— Może...

— Jakto może? cóż ty masz, serce, przeciw temu?

— Pogadamy o tem później, stryjaszku. Teraz nie czas na dysputy o tak ważnych zagadnieniach. Do tego trzeba wolnej myśli i spokojnej głowy, a nam wisi nad karkiem ciężkie niebezpieczeństwo.

— Ciężkie to ono i ciężkie, ale my jutro, przy jasnem słonku pogadamy o tem.

Ziewnął głośno, przeciągnął się i rzekł:

— Uf! spać się chce.

Dochodzili do werandy, na której jasna lampa się paliła, zgęszczając pod drzewami ciemności, a na ścieżkę rzucając złocistą smugę. Koło tej lampy tłoczyły się tłumnie ćmy, uderzały o szkło i wiele z nich oparzonych i osmalonych padało dokoła. Na werandzie nikogo już nie było, tak się przynajmniej Stanisławowi zdawało; dopiero gdy się zbliżył, spostrzegł siedzących w kącie Anielkę i Antka Wiśniewskiego. Tak byli zajęci sobą, a może ożywioną rozmową, którą prowadzili, że nie spostrzegli ani Stanisława, ani stryjaszka Józefa. Ten, wkroczywszy zamaszyście i do tego pierwszy na werandę, był przekonany i później w sposób jaknajbardziej stanowczy twierdził, że schwycił Anielkę i Antka na gorącym uczynku całowania się w same usta. Teraz jednak nie dał poznać po sobie, że cokolwiek niewłaściwego zauważył, tylko zakaszlał mocno, stuknął w podłogę mocno swoją sękatą laską i zawołał:

— A co? państwo pacierze odmawiający? taj chwali się to, bardzo się chwali w czasach takiej bezbożności, jak obecnie. No! spać! spać! dobranoc!

Ukłonił się mocno zmieszanej parze, rzucił ukośne wejrzenie na zarumienioną jak wiśnia Anielkę i zamaszystym krokiem wszedł do środka domu. Anielka też, obaczywszy Stanisława, zakręciła się po werandzie i szeleszcząc swą obcisłą sukienką, znikła.

Antek Wiśniewski podniósł się ciężko z ławki, na której siedział i słodkie pocałunki pił z różanych ust dziewczyny i strasznym wzrokiem spojrzał na Stanisława, a potem spytał:

— Cóż? spacerowałeś?

— Spacerowałem i pięknych rzeczy się dowiedziałem.

Antek myśląc, że Stanisław widział pocałunki i że o nich chce mówić, wyprostował się i spytał szorstko:

— Cóż takiego widziałeś? człowiek honoru choć co widzi, to o tem nie gada.

— Nie rozumiem cię. To co widziałem, nie ma nic wspólnego z honorem, owszem, jest przeciwne honorowi.

— Tak sądzisz?

— A tak.

— No to ja ci oświadczam, że jestem innego zdania.

Teraz dopiero spostrzegł się Stanisław, że Antek ma co innego na myśli i że obaj o czem innem myślą. Chcąc więc uniknąć drażliwej rozmowy i wcale



I szli w milczeniu wśród szumiących lip.

niepotrzebnego nieporozumienia, odrazu przystąpił do rzeczy i powiedział Antkowi, jakie zamiary kuzynek Jasiński razem z Michaiłem Srulowiczem knują przeciw osobom, bawiącym w Górze.

XVI.

Antek Wiśniewski, uwiadomiony przez Stanisława o bandyckich zamiarach Jasińskiego, nie chciał temu wierzyć.

— Chyba się przesłyszałeś — mówił — gdzieżby znowu!

— Powiadam ci, że nie tylko ja, ale i stryjaszek Józef to słyszał.

— Zdawało wam się... z pewnością jest w tem jakaś pomyłka.

— Czy ci się to wydaje niemożebnem?

— Niemożebnem? no... nie! wszystko na świecie jest możebne, ale to jest prawie nieprawdopodobne.

— Bronisz Jasińskiego, bo zauważyłem, że jesteście z nim w przyjaźni.

— Ja z Jasińskim w przyjaźni? żartujesz chyba. Skądże takie przypuszczenie!

— Widziałem was, jak z jakiejś wycieczki tajemniczej wracaliście razem, mocno zagadani i zajęci sobą.

— A! z tego wyprowadziłeś wniosek, że jesteśmy w przyjaźni. Osobliwsza logika, której cię zapewne nauczono w szkołach niemieckich. Ponieważ szli razem i gadali z sobą, e r g o są w przyjaźni. Tym sposobem możnaby mię posądzić o przyjaźń z pierwszym lepszym przechodniem, którego spotykam przypadkiem i który mnie pyta o drogę. No! przyznaj Stachu, że cię tam niewiele Niemcy nauczyli.

— Nie odchodźmy od rzeczy. Tu nie o to idzie, czy mię czego Niemcy nauczyli lub nie, ale o Jasińskiego. Powtarzam ci, że na własne uszy słyszałem, jak w parku na schadzce zapowiadał utworzenie tutaj republiki czerwonej...

— Wcale niezła myśl...

— Być może, choć mojem zdaniem dość niemądra. Otóż w tej rozmowie, gdy mu zwrócono uwagę, że trzeba pieniędzy, odrzekł, że się znajdą z chwilą gdy sukcesorowie stryja Teodora odbiorą swe schedy. Kazał być wszystkim w pogotowiu na tę chwilę. Oto moja relacya, co do joty prawdziwa. I cóż ty na to?

Antek Wiśniewski zrazu milczał, coś w głowie ważąc, wreszcie rzekł:

— Dziwne to wszystko. Jużcić wierzyć ci muszę, skoro mnie zapewniasz, żeś na własne uszy słyszał rozpowiadającego swe zamiary Jasińskiego. Ale powtarzam, że mi się to dziwnem wydaje.

— Dlaczego?

— Bo uważasz, wtedy, kiedyś to mię widział idącego z nim razem, chodziliśmy, by znaleść drogę, którąby można bezpiecznie z Krakowa sprowadzić w znacznej ilości czasopismo „Polak“. I drogę taką znaleźliśmy dzięki pomysłowości tegoż Jasińskiego.

— Nie może być?

— Tak! tak, mój braciszku. Jasiński okazał przytem wielką gorliwość, zapał, gotowość do poświęceń i energię, tak że wzbudził we mnie podziwienie i zaufałem mu zupełnie. Powiedzże mi teraz, jak pogodzić to postępowanie Jasińskiego z tem, co ty mi teraz opowiadasz?

— Bardzo łatwo.

— Hm... ja tej łatwości jakoś nie widzę.

— Wszak wiadomo ci, że Jasiński służy w policyi w Warszawie.

— Nie w Warszawie, tylko na Pradze. Wiem o tem. Sam mi to opowiadał. Rzucony na łaskę losu, nie mając żadnego fachu w ręku. nie chcąc umierać z głodu, musiał wziąć tę posadę, o którą wystarał mu się ten zapasiony dureń Miller. Na tego kpa podejrzanego powinieneś raczej zwrócić uwagę, niż na Jasińskiego. Miller podobno jest w arcyprzyjaznych stosunkach z policyą warszawską, ma wpływy, jest za pan brat z oberpolicmajstrem. Jasiński jest biedakiem i dobrym patryotą polskim, zresztą figurą nic nie znaczącą.

— A niech tam zresztą... co mię to obchodzi?

— Nic, a nic cię nie rozumiem.

— Ba! ja sam siebie nieraz nie rozumiem.

Smiał się, słuchał, jak to mówią, jednem uchem, tego, co mu mówił Stanisław, naciskał na swą długowłosą czuprynę bandycki kapelusz, to znowu go spychał na tył głowy, oglądał się dokoła i widocznie myśl miał czem innem zajętą. W jego czarnych oczach świecił jakiś blask niezwykły, a twarz zwykle boleśnie wykrzywiona, usta szyderczo zagięte, teraz były wypogodzone, prawie uśmiechnięte radością życia i młodością.

Stanisław idąc za wzrokiem Antka, spostrzegł w oddali na ławce, pod cieniem ogromnego świerka Anielkę, siedzącą razem z Jasińskim. Ubrana jak zwykle, w białą bluzkę i jasną sukienkę, odcinała się wyraźnie i wdzięcznie na tle ciemnej zieleni.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Uroczystość strażacka.

W rocznicę zwycięstwa pod Grunwaldem urządziła straż ochotnicza wsi Czukiew w pow. samborskim, wsi, założonej przez króla Władysława Jagiełłę. uroczyste poświęcenie nowego swego sztandaru. Obchód ten, który wypadł bardzo pięknie, świadczył o znacznem uświadomieniu narodowem ludności wiejskiej tej okolicy.

Wczesnym rankiem zbudziły mieszkańców salwy moździerzowe, zwiastując nadejście uroczystego dnia. Cała wioska przybrała odświętne szaty, mnóstwo domów było udekorowanych chorągwiami i zielenią. Wcześnie też poczęto się gromadzić obok czytelni T. S. L., skąd miał wyruszyć pochód do kościoła. Prócz całej niemal ludności miejscowej, przybyło bardzo wielu mieszkańców sąsiednich a nawet dalszych wsi.

Z muzyką włościańską z Dolnej na czele, ruszył pochód do kościoła farnego, gdzie sumę odprawił ks. Sobolewski. Po nabożeństwie wszyscy uczestnicy uroczystości zgromadzili się obok ołtarza na cmentarzu kościelnym, gdzie miało się odbyć poświęcenie nowego sztandaru. Do zebranych przemówił naprzód ks. Paszkiewicz, poczem dokonał aktu poświęcenia i oddał sztandar w ręce chorążego Serafina, który złożył uroczyste ślubowanie. Nastąpiło tradycyjne wbijanie gwoździ w drzewce sztandaru przez rodziców chrzestnych i gości, poczem wniesiono sztandar do kościoła a następnie udano się pochodem do strażnicy, gdzie nastąpił dalszy ciąg uroczystości. Wygłoszono tam kilka przemówień a następnie odbyła się defilada straży przed sztandarem; z kolei udali się goście do budynku szkolnego na skromny posiłek, zakończeniem zaś całej uroczystości była zabawa ludowa popołudniu.

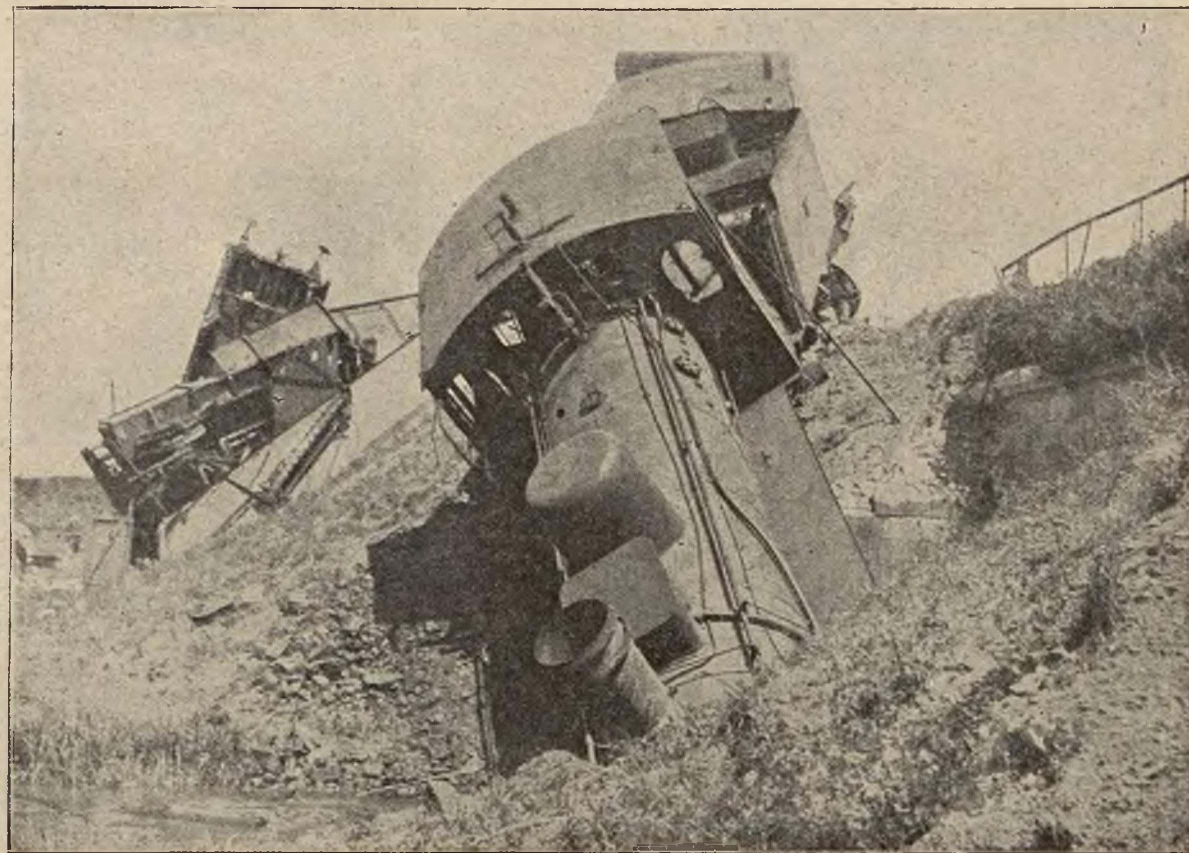
## Dwie katastrofy kolejowe.

Ciągłe, w krótkich odstępach czasu wydarzające się katastrofy lotnicze, usunęły niejako w cień wypadki kolejowe, które jednak wydarzają się również dość często, powodując śmierć lub okaleczenie mnóstwa osób oraz olbrzymie straty materyalne.

W ciągu ostatnich kilkunastu dni zaszły dwie poważne katastrofy, z których jedna — na szczęście — skończyła się tylko na zniszczeniu lokomotywy i kilkunastu wagonów towarowych, oraz kontuzyach paru funkcyonaryuszów kolejowych, druga natomiast pociągnęła za sobą śmierć kilkunastu osób.

Pierwsza katastrofa wydarzyła się tuż koło dworca Dornberg-Gross Gerau w Hessyi, wskutek wykolejenia się pociągu towarowego. Maszynista nie zauważył wskutek ciemnej nocy sygnału, polecającego zatrzymanie pociągu, wjechał na ślepy tor a stamtąd runęła maszyna w wykop, pociągając za sobą piętnaście wagonów. Maszyna zaryła się głęboko w ziemię, ulegając przytem oczywiście zupełnemu zniszczeniu. Ten sam los spotkał wagony pociągu, które spiętrzyły się jeden za drugim i zamieniły w stos gruzów.

Jeszcze groźniejsza była katastrofa, która w parę dni później wydarzyła się w pobliżu Bazylei, przed dworcem w Müllheim w księstwie badeńskiem. Spowodowała ją zbyt szybka jazda na prowizorycznym torze. Wskutek wykolejenia się lokomotywy, uległo zniszczeniu kilka wagonów pociągu pośpiesznego. Przy tem zginęło na miejscu dziesięć osób, ciężkie rany odniosło piętnaście osób a dwadzieścia lżejsze. Z ciężko rannych zmarło następnie pięciu podróżnych, tak że ogółem przypłaciło straszny wypadek życiem piętnaście osób.



**Dwie katastrofy kolejowe:** Lokomotywa pociągu kolejowego po wykolejeniu pod stacyą Dornberg-Gross Gerau w Hessyi.



**Uroczystość strażacka:** Grupa członków straży ogniowej w Czukwi, dziewcząt i gości wraz z nowym sztandarem; w środku siedzą: A. Nadybski (X), prezes komitetu, K. Gryl (XX) i R. Nowak (XXX), członkowie komitetu.



Dwie katastrofy kolejowe: Szczątki pociągu pospiesznego, rozbitego na stacyi Müllheim koło Bazylei.

Pierwsze plenarne uroczyste zebranie odbyło się w sali Starego teatru. Wśród mnóstwa obecnych, którzy szczelnie wypełnili obszerną salę, byli: szef sekcyi ministerstwa oświaty dr. Cwikliński, przedstawiciele Wydziału krajowego dr. Pilat i dr. Bernadzikowski, przedstawiciel namiestnictwa dr. Lachowicz, Akademii umiejętności wiceprezes dr. Fr. Zoll, Uniwersytetu rektor dr. Witkowski, dalej reprezentanci wielu stowarzyszeń i korporacyi lekarskich i uankowych z Krakowa, Lwowa, Warszawy i Poznania.

Swiat naukowy czeski reprezentowali dr. J. Hlava, delegat uniwersytetu czeskiego w Pradze, prof. Stoklasa i Kuraż, dalej dr. Vesely i dr. Kimla, delegaci Tow. czeskich lekarzy; przybyli nadto dr. Ott i dr. Bechterew z pośród lekarzy rosyjskich, dalej dr. Thalczicz z Zagrzebia, oraz Rusin dr. Ozarkiewicz, delegat ruskiego Tow. lekarskiego we Lwowie.

Obrady zagaił imieniem komitetu gospodarczego jego preezes prof. dr. Nowak, witając serdecznie wszystkich uczestników zjazdu, poczem prze mawiał długi szereg osób imieniem korporacyi, które je wydelegowały na zjazd.

Wedle opisu dzienników niemieckich, rozegrały się na miejscu katastrofy straszne sceny, pociąg bowiem był dobrze zapełniony, wśród podróżnych powstała więc okropna panika, która przyczyniła się do powiększenia fatalnych skutków wykolejenia.

Zaraz po wypadku przybył na miejsce pociąg ratunkowy z lekarzami, którzy zajęli się opatrunkiem pokaleczonych osób; z tych większość uda się utrzymać przy życiu. Mimo to skutki katastrofy są fatalne.

Zdjęcie zamieszczone w dzisiejszym numerze, dają pojęcie o rozmiarach obu wypadków.

## Sejm polskich uczonych.

Przez kilka dni ubiegłego tygodnia gościł Kraków w swych prastarych murach liczną bardzo drużynę polskich lekarzy i przyrodników, którzy w sie dzibie Wszechnicy Jagiellońskiej odbyli swój XI z rzędu zjazd.

Zjazdy uczonych polskich, to fakty doniosłe w życiu całego społeczeństwa. Wiedza bowiem i nauka polska są zawsze źródłem, krzepiącem nas w walce o byt, toczonej wśród ciężkich warunków życia porozbicrowego, są dalej świadectwem na zewnątrz naszej żywotności. To też otaczamy wszyscy uznaniem i wdzięcznością pionierów polskiej nauki a każde miasto polskie, w którego murach przedstawiciele wiedzy się gromadzą, wita ich z wielką i serdeczną radością i życzliwością.

Inicyatywę do urządzania zjazdów lekarzy i przyrodników polskich w pewnych odstępach czasu dał w swoim czasie ś. p. A. Baranowski. Odbywają się one kolejno w Krakowie lub we Lwowie, w Warszawie bowiem i Poznaniu panują tego rodzaju stosunki polityczne, iż zjazdy nie mogą się tam odbywać.

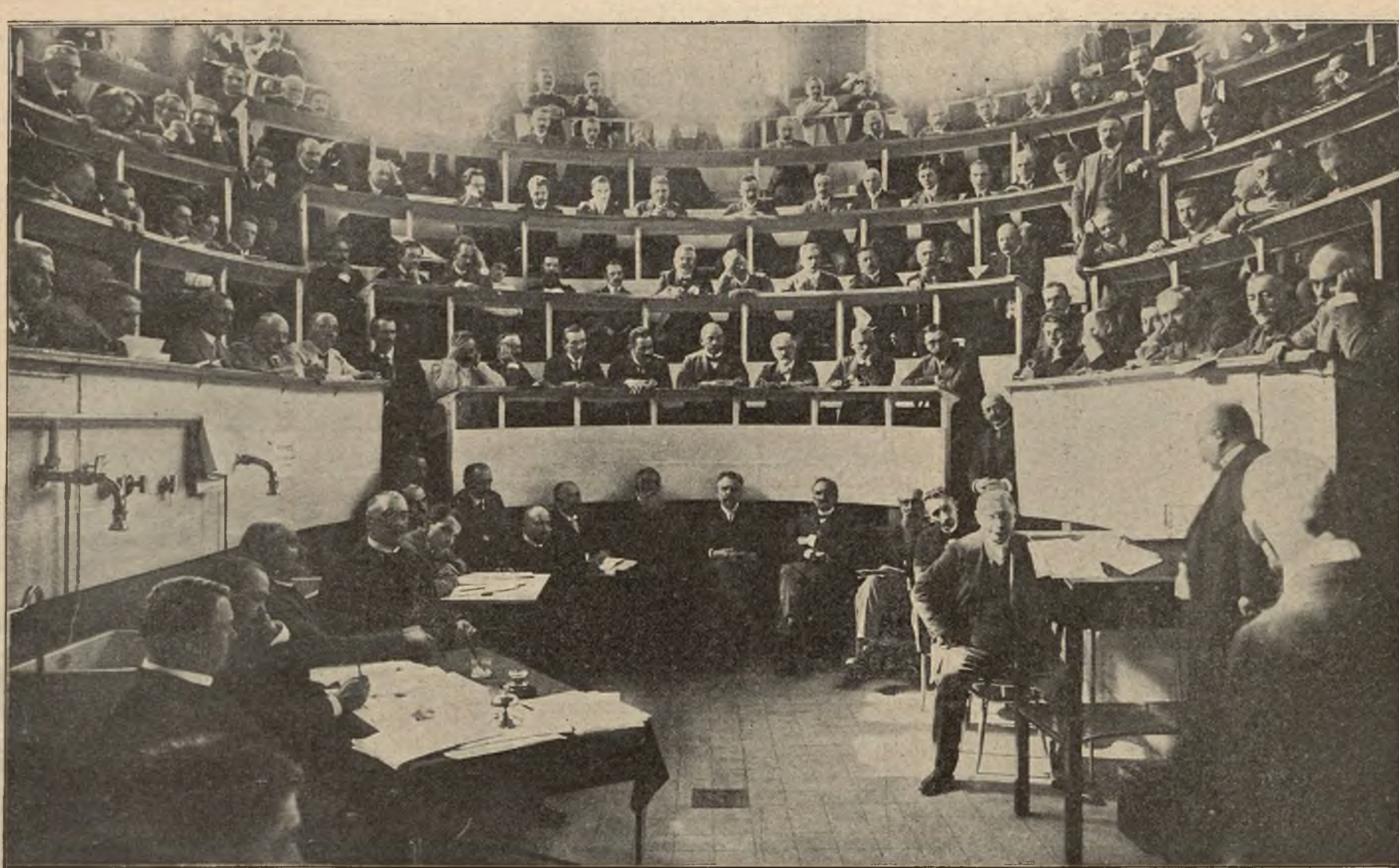
Tegoroczny zjazd w Krakowie wypadł wspaniale, imponująco. Udział wzięło w nim przeszło 1000 uczestników ze wszystkich dzielnic Polski, nadto przybyli przedstawiciele nauki czeskiej, rosyjskiej, chorwackiej i ruskiej.

Wstępem do zjazdu lekarskiego była uroczystość pięćdziesięciolecia organu Towarzystwa lekarskiego w Krakowie, „Przeglądu lekarskiego". W pięknej sali obrad domu lekarskiego przy ul. Radziwiłłowskiej zebrało się bardzo liczne grono uczonych, przedstawicieli rozmaitych instytucyi naukowych i literackich, oraz wielu uczestników zjazdu, aby złożyć życzenia towarzystwu z powodu jubileuszu jego organu oraz redakcyi, na której czele stoi obecnie prof. dr. Ciechanowski.

Sam zjazd otwarty został we wtorek rano po nabożeństwie w akademickim kościele św. Anny.



Sejm polskich uczonych: Uczestnicy XI. Zjazdu polskich lekarzy i przyrodników w dziedzińcu



**Sejm polskich uczonych:** Obrady sekcyi chirurgów i internistów.



...ioteki Jagiellońskiej; w środku prezes rzeczywisty Zjazdu dr. Heliodor Święcicki (X) z Poznania. (Fot. Pierzchalski, Kraków).

Z kolei przystąpiono do ukonstytuowania się zjazdu; wybrano rzeczywistym prezesem dr. Heliodora Święcickiego z Poznania, zastępcą zaś dr. Gajkiewicza z Warszawy; na sekretarzy powołano dr. Gantkowskiego z Poznania i dr. Łukowskiego z Wilna. Ponadto do prezydyum honorowego wybrani zostali: dr. Sokołowski, dr. Baranowski, dr. Kosiński, dr. Dickstein i dr. Jaworski z Warszawy, dr. Radziszewski, dr. Gluziński, dr. Rydygier, dr. Nussbaum, dr. Ozarkiewicz, dr. Mars i dr. Twardowski ze Lwowa, dr. Hlava i dr. Stoklasa z Pragi, wreszcie dr. Thalczicz z Zagrzebia.

Po ukonstytuowaniu się zjazdu wygłosił prof. dr. Romer ze Lwowa referat „o krajobrazie“. Referat ten zainicyował naukową pracę zjazdu, którą kontynuowano następnie w całym szeregu sekcyi. Obradowały one w kilku salach przez wtorek po południu, środę i czwartek.

Pracę naukową przeplatały zebrania towarzyskie i rauty, z których pierwszy urządzony został na cześć gości przez komitet gospodarczy, drugi zaś w czwartek przez gminę m. Krakowa.

W związku ze zjazdem lekarzy i przyrodników są wreszcie wystawy: balneologiczna i farmaceutyczna w gmachu Akademii handlowej, oraz wystawa mineralogiczna w „Collegium minus“.

Plon tegorocznego zjazdu lekarzy i przyrodników, jest bardzo obfity, a wyrazem są liczne uchwały i rezolucye, wielkiej wagi i doniosłości.

# Anarchia w Persyi.

Niemałą niespodziankę sprawił całemu światu, a zwłaszcza Europie, były szach perski Mohammed Ali, o którym sądzono powszechnie, iż restauruje swe zdrowie w Maryenbadzie, gdy on tymczasem *incognito* zdążał ku granicom swej niewdzięcznej ojczyzny, która nie chciała, czy nie umiała się poznać na jego przymiotach. Powrót jego był już od dawna przygotowywany, ex szach liczył głównie na poparcie dawnej swej opiekunki Rosyi i w tej myśli rozpoczął walkę o odzyskanie tronu. Obecny rząd perski stoi po stronie rejenta, Mohammed Ali ma atoli za sobą znaczną część ludności, która nie jest zadowolona z dotychczasowych rządów rejencyi.

Pomimo protestu rządu perskiego, pozwolono ajentom zdetronizowanego szacha dostarczać broni jego zwolennikom w Persyi, wreszcie i on sam przybył do kraju, choć ongiś złożył uroczyste przyrzeczenie, że w Persyi nigdy się już nie pokaże.

Główną podporą partyi konstytucyjnej, czyli rządowej, jest szczep Bachtyarów, zdawna wrogo uspo-

sobiony względem panującej dynastyi. Posiadają oni rozległe pastwiska na południu, prowadzą życie prawie koczownicze, trudnią się rozbojem, a odznaczają ogromną odwagą i determinacyą. Po stronie



**Anarchia w Persyi:** Obecny szach perski, małoletni Achmed Mirza.

natomiast zdetronizowanego szacha stoi szczep Turkomanów, pozostający od dawna na stopie wojennej z Bachtyarami. Także i wodzowie wojska rządowego są zwolennikami Mohammeda, co ma dla niego niepoślednie znaczenie.

Ludzie obeznani ze stosunkami perskimi twierdzą, że nie ulega prawie żadnej wątpliwości, iż zdetronizowanemu szachowi uda się wkroczyć do Teheranu, ponieważ prawie cały kraj życzy sobie jego powrotu. Nie przestraszą jego zwolenników nawet owe szubienice, które rząd kazał wystawić w stolicy, a jakie jest usposobienie ludności wskazuje fakt, że pomiędzy tymi, którzy przybyli do Wiednia, aby Mohammeda Alego nakłonić do powrotu, znajdował się także jego brat Salah ed D.uleh i wielu perskich notablów.

Wedle przypuszczeń uda się ex szachowi podczas marszu do Teheranu zgromadzić około 20.000 wojska, podczas gdy obecny rząd nie rozporządza nawet pięciu tysiącami żołnierzy, na których mógłby liczyć. Są wprawdzie działa, ale brak do nich amunicyi, w armii rządowej panuje zupełne rozluźnienie i kompletny brak dyscypliny.

Co do wewnętrznych stosunków w kraju, wypada zaznaczyć, że w całej Persyi ludność oburzona jest na sfery obecnie rządzące. Parlament nie spełnił nadziei i oczekiwań, od dwu lat rozpanoszyła się najzupełniejsza anarchia. Prezes ministrów Sipahdar jest wprawdzie mądrym człowiekiem, ale brak mu energii, aby należycie kierować sprawami państwa. Rząd obecny jest słaby i nieprzygotowany, sądzą też powszechnie, że pretendento i uda się doprowadzić do skutku przedsięwzięcie bez zbyt wielkiego krwi rozlewu, zwłaszcza że armia dwudziestotysięczna, jaką rozporządza, jest na tamtejsze stosunki ogromną i zapewnia mu stanowczą przewagę nad rządem.

Dodać należy, że Mohammed Ali nie myśli wcale o skasowaniu konstytucyi, przyobiecał nawet, iż jeśli uda mu się odzyskać tron, utworzy obok parlamentu i Izbę panów, przed którą ministrowie będą także odpowiedzialnymi za swe czynności.

Wobec tych okoliczności, zdaje się, rząd dotychczasowy będzie musiał ustąpić, tylko na wypadek, gdyby inne mocarstwa chciały interweniować, krwawe i ciężkie walki staną się nieunikniontemi. Jak się jednak ułożą wypadki, trudno dziś coś pewnego powiedzieć, zwłaszcza że Anglia z powodu swego układu z Rosyą, nie może otwarcie występować, nie omieszka jednak na innej drodze bronić swych interesów.

Możemy więc spodziewać się jeszcze niejednej niespodzianki z tamtej strony. Anarchia w Persyi może się odbić mocno na handlu mocarstw interesowanych, a one chyba na to nie pozwolą, inaczej zgodnie podzielą się perskiem teretoryum, bo i to nie jest wykluczone.

Ostatnie telegramy, jakie nadeszły z pola walki, donoszą, iż wojska Mahommeda Alego pobiły pod Sziras na głowę wojska rządowe, a były szach posuwa się coraz szybciej ku Teheranowi, witany wszę-



**Anarchia w Persyi:** Pretendent do korony, zdetronizowany szach Mohammed Ali.

dzie owacyjnie. W drodze siły jego rosną coraz bardziej.

W Teheranie panuje łatwo zrozumiały popłoch, który zwiększa jeszcze rozporządzenie obecnego rządu, polecające na placach publicznych wystawianie całego szeregu szubienic, przeznaczonych dla tych, którzy popierają pret...



**Sejm polskich uczonych:** Prezydyum XI. Zjazdu lekarzy i przyrodników polskich w Krakowie. (Fot. Pierzchalski, Kraków).

# BEM

## POWIESC HISTORYCZNA Z XIX WIEKU

przez WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO.

39 (Dokończenie).

Bem osunął się na pudło przewróconej bryczki. Dębiński podał mu manierkę z wódką. Bem pił długo, chciwie — aż pewniej odetchnął.

— I cóż — cóż teraz!?

— Mamy odejść i my! — Milberg już poszedł do mostu.

— A potem, a dalej?

— Dalej! — powtórzył głucho Dębiński. — Nie wiem. — Będzie rada. Jeszcze prawy brzeg Wisły zostanie. Modlin. Zamość, korpusy Ramorina, Różyckiego... Łubieńskiego... Do czterdziestu tysięcy luda... Ale — generał podobno masz stanowić arjergardę. Pozwól, właśnie adjutant naczelnego wodza.

Bem siedział odrętwiały. Tuż przed nim Dębiński wadził się z adjutantem, piorunami sadził, pienił się, klął na czem świat stoi. Bem nie rozumiał nawet, co Dębińskiego tak poruszyło. Aż Dębiński położył mu rękę na ramieniu.

— Kolego generale! — Słyszysz, do milion! — Rozkaz! — Masz z zapalonymi lontami cofać się od rogatek do placu Bankowego!

Bem dźwignął się i powlókł bez słowa odpowiedzi.

Ale teraz pojął. Wyśmienicie pojął. Najpierw ściągnie armaty bezamunicyjne — a dopiero w ostatku tamte. Praca wielka, bo koni padła chyba połowa a i przodków całych licho co!

Trzeba i natychmiast trzeba... Jeno że odstał mocno i nogi, nogi naginają mu się, plączą...

Bem potknął się raz i drugi i przystanął pod opłotkami.

Wytchnie aby chwilę.

Zmrużył nieco powieki — ale jaskrawe, miedziane światło łuny ocknęło go.

Bem rozejrzał się z zadowoleniem.

Widno, jak w dzień. I dobrze, bo chybaby nie zdołał. Gdzie bo tyle nygusów tarza się wszędy... O jak to stęka, nicpoń! Okopy! — Oczywiście, a tam z prawej widać baterye... Chociaż nie podobna, bo coby to robiła ta ciżba wyjąca!

Bem zmógł się. Okraczył z trudem zagradzające mu drogę ciało żołnierza i szedł pod opłotkami.

Naraz jakiś chrapliwy zew osadził go na miejscu.

— Elwardzie! — Elwardzie!

Bem roześmiał się sucho. Juści biorą go za Edwarda.

Twarz skurczona zbliżyła się doń.

Bem wyprostował się przytomnie.

— Jesteś w błędzie, przyjacielu! Na imię mi Józef! Ależ tak... parol! Czy jestem z artyleryi?! Czekaj waćpan!... Cha-cha! Przecież tak łatwo poznać... chociaż, prawda, jestem w ogólno generalskim...

— Edward — Edward Plater... był — kanonierem!!?

Bem potarł czoło.

— A, Plater, czekaj waćpan, był niezawodnie! Wielu ich było jeszcze przed południem! Cóż, kartacz wpół!

Twarz wykrzywiła się tak cudacznie, że Bema tknęło. Chwycił się opłotków i odszedł.

— I naprzykrzony jakiś! Jest o czem! Był — był! — Dwustu siedemdziesięciu ludzi winno być w bateryi według regulaminu. A niema i stu! Kartacz! Tęgi nabój!...

Bemowi w oczach pociemniało. Nogi splątały mu się. Pod czaszką łysnęła mu myśl złowroga. Jeszcze ostatkiem sił szarpnął się ku przodowi i padł nieprzytomny.

Aż z pomroki, która go spowiła, zbudziło go dotknięcie małych, drobnych rączek.

Tak, były to jej rączki, Anusine, ukochane. Zabałamucił, świta dawno, a on wyleguje się. A rączyny muskają go po czole, chłodzą rozkosznie...

Bema opanowała nieprzezwyciężona chęć ucapienia ich i przyciśnięcia do ust. Więc zacisnął chytrze powieki, zaczaił się i porwał za nie, otwarł powieki i osłupiał...

Chyliła się nad nim drobna postać dziewczki...

Bem nie zdołał jeszcze ogarnąć zjawiska, pojąć, gdzie się znajduje, gdy tuż nastręczyła mu się zamaszysta, opiekła baba i jęła mu prawić, jako właśnie, kiedy go z nóg ścięło, widziała, jak lepiej niż godzinę chyba przeleżał i jako zaniechałaby go, bo sama z trwogi, co ją drugi dzień łamie, ustać na jednem miejscu nie może — lecz że właśnie smarkula, czyli Antoszka przylgła, że to pan oficyer najpewniej wie, co z dziadkiem, czyli Pietrusiem.

Generał otrzeźwiał.

W kilka chwil później z pozycyi pod cmentarzem jęły dźwigać się pierwsze armaty i wlec się smutnie a zgrzytać w stronę placu Bankowego, u-wożąc na przodku działa skulonego bezwładnie wachmistrza Dziurbackiego i dwie postaci niewieście.

Zanim purpura brzasku zdołała przyćmić purpurę łun — już zadudniły tarabany i fajfry grenadyerów Szachowskiego, już w ulicach Warszawy zadudniły gotowe do strzału bateryе Gorczakowa.



I chodził Bem od noszy do noszy.

Wojsko polskie ustąpiło, odeszło bez warunków, razem z deliberującym dalej sejmem...

Bem stał na pozycyi przed mostem od strony Pragi z armatami, wymierzonemi ku murom, których wczoraj jeszcze tak gorąco bronił, w moc których jeszcze wczoraj tak święcie wierzył.

I poglądał Bem na rozwijające się wzdłuż przeciwległego brzegu wstęgi wojska. Poglądał na bramujące się paszczami podzamkowe tarasy, dynasowskie wzgórza, bernardyńskie ogrody. Aż snać dla połysku bagnetów, które w dźwigającem się z za Pragi słońcu lśniły coraz natarczywiej, uprzykrzył sobie poglądanie ku Warszawie, czyli innego zapragnął widoku, bo zawrócił nagle na tyły pozycyi, kędy za biwakami piechoty rozpostarł swe namioty ambulans artyleryi.

Tu oblicze Bema ożywiło się, tu bowiem byli ci, których on nie dał szpitalowi wojskowemu, których na lawetach, na przodkach uwiózł, wydarł niewoli, tu przecież leżeli pokotem ci, co tchnęli walką, bitwą, co jej jeszcze nie przebyli.

Tu podpułkownik, trawiony gorączką, huczał jeszcze na kanonierów, tu podporucznik Iliński nastawiał precz wysówki celownicze, tu biała, przeźroczysta twarz Zarzyckiego miała ciągle ten sam skurcz powieki, kiedy przed skorupą granatu, co mu bok rozwarła, kierował silnią.

I chodził Bem od noszy do noszy. Zagadywał sztabslekarza, pozdrawiał tych, co dosłyszeć mogli, krzepił, dodawał otuchy, żartował nawet. I sam czegoś już rozruszał się, tężyzny nabrał, siły, gdy naraz zamajaczyła mu się tonsurka na siwopłowem ciemieniu.

Bema dreszcz przeszedł. Zbliżył się, lecz miast spodziewanego obrazu — trafił na cały spór, który krępa, opiekła baba wiodła na piękne z księdzem Mierzowskim i to u wezgłowia profosa Dziurbackiego.

Bem chciał zagadnąć księdza, lecz baba pierwsza ku niemu się zwróciła.

— Chwalić Boga, wielmożny generał najlepiej nas rozsądzi!

— Ależ moja kobiecino — sumitował się ksiądz — jeno *in articulo mortis* wolno mi śluby takie dawać. A tu wachmistrz w obliczu śmierci nie jest!...

— Ale był, ale całe dwa dni był, wielmożny generał zaświadczy! Dwa miesiące się wlecze. A jedna zapowiedź wyszła — a tak, u Pijarów... a wyszła! Wdowa jestem rzetelna, całe Stare Miasto niech powie! Gospody zaniechałam, aby z nim być. Aby tę skrzynkę, w ostatnim momencie, co Pietruś jęczał, przydźwigałam...

Baba rozgadała się na dobre. Aż generał skinął i dopiero mógł się dowiedzieć od księdza, że oto pani Madejowa gwałtem dopomina się o danie jej ślubu z Dziurbackim.

Bem aż się rozśmiał.

— Pozwól księże kapelanie — a mości Dziurbacki!

Profos westchnął.

— Cóż, mospanie, jedną Olesiowę miałem, kumkę i poraziło ją z hukania! Zresztą mnie nic — aby co Antoszce sporzej byłoby...

— Waćpan masz dzieci!?

— Dzieci — są proszę generała!

Bem dostrzegł teraz piękną, opromienioną popielato blond włosami główkę, wychylającą się z poza ramienia Madejowej i jednym rzutem myśli ogarnął wspomnienia.

— Więc ta dzieweczka?

— Kurpianka!

— Dalipan księże kapelanie!

Ksiądz strzepnął bezradnie rękoma.

— Chyba, że lekarz zaświadczy, jako stan rannego...

— Ręczę księdzu!

Madejowa chciała dziękować. Bem ujął profosa za rękę.

— No, stary towarzyszu — więc pierwszy ci pozdrowienie składam! A na wiano zwiastuję ci podporucznikowską epoletę...

Madejowa aż beknęła na taki honor. Dziurbacki jednak zawachlował powiekami i odparł głucho:

— I cóż mi, generale... kiedy Polski nie będzie!

— Jakto nie będzie, do kroćset!? A dawne czasy pomnisz!? A póki my żyjemy — zapomniałeś!?...

Dziurbackiemu oczy łzami się uśmiechnęły.

— Boże cię błogosław, generale.

I Bem opuścił ambulansowe namioty pokrzepiony, rozchmurzony i skręcił teraz w bok, między domostwa, kędy był ukrył w zaciszu swoje własne miłowanie, swoje własne szczęście, kędy pod opieką poczciwej pani Dzikowskiej, przebywała pani Marchocka.

Generał szedł chyłkiem, onieśmielony, zawstydzony sam w sobie, że w chwili tak bolesnej, tyle klęsk niosącej — tyle, tyle nosi w sobie radości, wesela tyle...

Pomięszana, zafrasowana twarz pani Dzikowskiej powitała go na progu izdebki ustronnego dworku przedmieścia.

— Wczas nadto — wczas?! — ozwał się raźno Bem.

Pani Dzikowska potrząsła osobliwie głową, lecz nim na wyraz się zdobyła, generał wpadł do izdebki — spojrzał i przystanął...

Kapitanowej nie było.

Pani Dzikowska podała mu kartkę papieru.

Generał podniósł ją machinalnie do oczu.

Czytał i nie rozumiał...

„Daruj — do innego nawykłam życia — wart jesteś lepszego losu — wracam do ...“

Bem wpił oczy w trudny do pojęcia wyraz — aż wyraz pełnią swoich liter zaskowyczał doń — „Gendre'a“...

. . . . . . . . . . . . . . . . . .

Około południa główna kwatera naczelnego wodza została zaalarmowana wiadomością, że Bem, dowódzca arjergardy, generał, co miał być osłoną w marszu do Płocka — zaniemógł, że odmawia szarży, że może — jako inni — zostać w Warszawie zamierza.

Małachowski z Umińskim podążyli do generała. Bem leżał w ambulansie polowym.

Tu atoli Małachowskiego i Umińskiego spotkała niespodzianka — bo oto Bem siedział przy Dziurbackim i słuchał powiadań starego — a gładził tulącą mu się do nóg główkę wątłej dziewczyniny.

Małachowski aż zakrzyknął z ukontentowania.

— Bywaj, generale! Na Boga, w tobie ufność, w tobie! Na ciebie oczy wojska zwrócone...

Bem za całą odpowiedź uścisnął dłoń Małachowskiego i szepnął z wysiłkiem:

— Póki żyjemy.

. . . . . . . . . . . . . . . . . .

I wojsko polskie ruszyło w dal i odchodziło, wlokąc na ogonie pochodowej kolumny bateryę artyleryi... a na ostatniej armacie, zamykającej marszową wstęgę, uwoziło zgarbioną postać generała, zwróconego twarzą ku rozpływającym się konturom Warszawy...

Generał oglądał, jeszcze linie murów chwytał — aż jeno mgły, mgły tylko zostały...

I pierś Bema drgnęła i załkała.

KONIEC.

Paryż w lipcu 1911 roku.

---

# KAMIL PERT

# Dramat w domu obłąkanych.

## POWIEŚĆ

### ROZDZIAŁ I.

### Noc tragiczna.

Była to noc lipcowa, tak czarna, duszna i parna, jak gdyby zanosiło się na burzę.

Pomimo ciemności, pod staremi drzewami olbrzymiego parku, który otaczał należący do doktora Feliksa Manescault dom zdrowia dla obłąkanych, dostrzec można było złączone z sobą dwa cienie, przesuwające się w alejach powolnym krokiem. Jeden z nich uosabiał młodego człowieka, a drugi młodą kobietę. Nie ulegało wątpliwości, że owi dwoje to para kochanków.

Należeli do klasy robotniczej, co łatwo dało się odgadnąć po ich skromnej odzieży. Mówili do siebie pocichu i przechadzali się tylko po drogach i ścieżkach, zaciemnionych zupełnie drzewami i gąszczem krzewów. Ona była młodziutką żoną Mikołaja Sempuis, człowieka starszego, surowego i ponurego, pełniącego obowiązki odźwiernego i naczelnego dozorcy w zakładzie dla umysłowo chorych; on Juliuszem Varin, ogrodniczkiem z sąsiedniej posesyi, którv umiał zjednać sobie serce słabej i osamotnionej Ludwiki.

Młoda kobieta nie chciała iść dalej, więc zatrzymała się, usiłując wysunąć rękę z pod ramienia tulącego ją do siebie kochanka.

— Pozwól mi odejść Julku — błagała. — Muszę udać się do siebie... Już upłynęła niemal cała godzina, jak opuściłam mieszkanie. Gdyby przypadkiem Mikołaj powrócił wcześniej niż zwykle, byłabym zgubiona!

Lecz młodzieniec jej nie puszczał.

— Nie lękaj-że się!... Wiesz przecie, że obowiązki służbowe twego męża zatrzymają go do drugiej po północy... Mamy więc czas dojść aż tam... do kiosku... gdzie nikt nas szpiegować nie będzie.

Ludwika nie chciała się zgodzić.

— Nie, nie!... byle nie dziś wieczór!... Mówię ci, że nie chcę... Muszę odejść natychmiast.

Pomimo to uległa jego namowom i szła dalej z umiłowanym towarzyszem.

Mijając jeden z szaletów, wznoszących się w pośród parku, a w których mieszkali bogaci chorzy, zadrżeli oboje, doleciały bowiem ich uszu z poza starannie zamkniętych okiennic małego domku bolesne jęki i jakby tłumione gwałtem chrapanie. Zdawało się, że odgłosy te płyną z pokoju, położonego na pierwszem piętrze, w którym przez szpary okiennic można było dostrzec światło. Ludwika, trzęsąc się cała, przyśpieszyła kroku.

— Och! to wycie waryatów... nie mogę do niego przywyknąć! — szepnęła mocno wzruszona.

Juliusza rozdrażnił także jęk, rozlegający się donośnie w ciszy nocnej wśród ciemnego parku.

— Faktem jest, że nie podobna z przyjemnością słuchać tych wrzasków — przytwierdził. — Powiedzże mi, proszę, co robią temu biedakowi, że narzeka w tak okropny sposób?

— Prawdopodobnie nic. Myślę, że to właściwa mu choroba tak go udręcza.

— Przypuszczam, że niema tam twego męża?

— Niema go niezawodnie!... On nigdy nie opuszcza głównego budynku, w którym pomieszczeni są chorzy, poddani ogólnym i jednakim przepisom i rozporządzeniom... Tu, w szaletach, przebywają pacyenci, posiadający własnych dozorców, przywiązanych tylko do ich osoby. Nad mieszkańcem pawilonu, z którego doleciał nas krzyk przeraźliwy, czuwa Maurycy Berthaut... ów, jak wiesz, Marsylijczyk.

Varin szepnął z odcieniem zazdrości w głosie.

— No tak... chłop przystojny, umizgujący się do ciebie...

Lecz Ludwika zaprzeczyła poruszeniem głowy i odpowiedziała smutnie:

— Mylisz się, mój Julku. Nigdybym mu nie pozwoliła... Już to, że ciebie kocham i w nocy, pokryjomu, widuję się z tobą, cięży mi bardzo na sumieniu...

Ogrodniczek zatrzymał ją nagle na miejscu i z widocznym niepokojem spojrzał poza siebie.

— Cicho!... ktoś wychodzi z pawilonu.

I kochankowie przerażeni ukryli się śpiesznie w ciemnej gęstwinie krzewów.

Jakiś człowiek wyszedł w istocie z szaletu, lecz nie zwrócił się ku nim, tylko żwawo podążył w stronę głównego gmachu zakładu, położonego w znacznej odległości i zasłoniętego zupełnie drzewami. Ludwika, trzęsąca się cała od strachu, bo przerażona niespodzianym popłochem, stawiała opór towarzyszowi, który ciągnął ją znowu.

— Nie, Julku, nie wchodźmy do kiosku, bo dziś boję się czegoś bardzo... W parku panuje pewien niepokój. Ludzie kręcą się to w jedną, to w drugą stronę... Mogliby nas dostrzec!

Pomimo to zatrzymali się przed małym budynkiem o sielskiej powierzchowności, do którego, jako do celu nocnej wycieczki, dążył Juliusz z upragnieniem.

— Gdyśmy się już tu znaleźli, to wejdźmy, choćby tylko na minutę — błagał ogrodniczek tonem pieszczotliwym.

Lecz w chwili, gdy ręka jego spoczęła na klamce, zatrzymał się, zaczął ze zdziwieniem nadsłuchiwać, poczem pochylił się i przez dziurkę od klucza zajrzał do wnętrza.

— Światło!... Ktoś tam jest! — szepnął zdumiony.

Ludwika, zaciekawiona również, pochyliła się także i ujrzawszy, mruknęła drżącym głosem:

— Pani!... Nasza pani... z przyjacielem swego brata... z muzykiem!

I oboje, lękając się, by ich nie złapano na podsłuchiwaniu, umknęli jak mogli najśpieszniej, starając się stąpać tak cicho, aby skrzypienie żwiru na ścieżce, nie zdradziło ich obecności.

Gdy już odbiegli na odległość, z której głosy ich nie mogły być usłyszane w kiosku, Varin wybuchnął śmiechem.

— Patrzcie państwo!... Czy mogłem spodziewać się czegoś podobnego?... Żona doktora Manescault miewa tak jak my schadzki nocne w parku... Ależ to doprawdy bardzo zabawne!

Ldwika, zasmucona wesołością kochanka, westchnęła głęboko.

— Nie żartuj, Julku! Jak ja i pani moja jest także bardzo nieszczęśliwa... Po wyjściu za mąż za doktora, już od lat czterech, płacze nieustannie dniem i nocą...

— A jednak, jak mi mówiono, nie miała grosza przy duszy, a doktor dał jej bogactwo i piękne stanowisko. O! niemało on zarabia w swoim zakładzie!

W odpowiedzi zawołała młoda kobieta z gorączkowem niemal ożywieniem:

— Ładny interes!... Stanowisko! pieniądze!... Nie pieniądze i nie stanowisko dają szczęście!... Pani niema jeszcze lat dwudziestu dwóch, a doktor liczy przeszło czterdzieści osiem... Jest samowolny, maniak, despota. Zaręczam ci, że biedna żałuje nieraz, że wyszła za niego.

— Dlaczegoż zgodziła się go poślubić?

— Była sierotą i miała młodszego brata, oboje zaś byli ciężarem dla ubogiej ciotki. Mniemała, że spełnia obowiązek, wychodząc za doktora Manescault, który przyjął jej brata i dał mu płatne zajęcie w swojem biurze.

— Ba! pan Marcelin Robertin, to jak się zdaje hultaj i do niczego!

— Nie jest złym chłopcem wcale, lecz nudzi się biedak tutaj, pragnął bowiem zostać artystą, jakim był jego ojciec nieboszczyk. To on wprowadził do domu młodego człowieka, którego widzieliśmy w kiosku...

— Jakże się zowie ten facet?

— Ludwik Marsol, jest wiolonczelistą, skończył konserwatoryum. Niegdyś, za panieńskich czasów, grywali razem z panią, bo pani nasza miała wstąpić do teatru. W ostatnich dniach doktór, który jest bardzo zazdrosny, zabronił mu bywać w swoim domu...

Varin rozśmiał się prawie głośno.

— A on nie mogąc jej w dzień odwiedzać, odwiedza ją w nocy.

Tak rozmawiając, zbliżyli się do szaletu, koło którego już raz przechodzili. I znowu osłupieli z przerażenia. Rozległ się krzyk okropny. W krzyku tym odróżnić mogli następujące słowa: „Do mnie!... na pomoc!“

Równocześnie posłyszeli głuchy łomot jakby spadającego ciała.

Varin postąpił krok jeden ku szaletowi.

— W rzeczy samej zdaje się, że ktoś kogoś zabija. Trzeba zobaczyć, co się tam dzieje!

Lecz Ludwika, silnie pochwyciwszy chłopaka za ramię, odwiodła go od tego zamiaru.

— Czyś oszalał?! — zawołała. — Przeciwnie, uciekajmy stąd czemprędzej! Gdyby z domku wyszedł dozorca, poznałby mnie niezawodnie!

Poczem oboje, mocno wzruszeni, rozbiegli się w różne strony.

Varin przeskoczył mur, oddzielający park od posiadłości swego chlebodawcy, Ludwika zaś pomknęła żwawo do małżeńskiego mieszkania.

Osoby, znajdujące się dotąd w kiosku, opuściły go nareszcie i szły obecnie tąż samą aleją, po której przed chwilą kroczyli: ogrodniczek z sąsiedniej posesyi i żona odźwiernego Sempuis. Pomimo wystepnych pozorów, schadzka pani Julii Manescault z Ludwikiem Marsol była zupełnie niewinna.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Uroczystość narodowa na Podhalu.

Rok minął od chwili, gdy w Krakowie zebrały się tłumy rodaków, aby u stóp pomnika, przypominającego wiekopomne zwycięstwo grunwaldzkie, zaczerpnąć siły i otuchy do dalszej walki z napierającym coraz bardziej od zachodu germanizmem, który powoli ale systematycznie ruguje nas krok za krokiem z naszej oczystej ziemi, kazi nam język i obyczaje. W krakowskiej uroczystości wzięła między



Zgon młodego wydawcy: Ś. p. Józef Unger.

innemi i udział liczna deputacyagórali z galicyjskiego Podhala, szczególniej z Zakopanego.

Po powrocie w rodzinne strony rzucono myśl na najbliższem posiedzeniu wydziału towarzystwa „Związek Górali", aby i w Zakopanem, tej letniej stolicy Polski, stanął bodaj skromny pomnik, poświęcony pamięci króla bohatera i wzniosłej idei, którą on przedstawia, jednocząc z jednej strony pod swym berłem Polskę, Ruś i Litwę, z drugiej zaś z mieczem w dłoni opierając się germańskim zakusom.

Inicyatorem podniosłej myśli był prezes Związku p. Fr. Garlica, wydział przyjął ją jednogłośnie.

Znany zaszczytnie artysta-rzeźbiarz, p. Wojciech Brzega ofiarował bezinteresownie sporządzić projekt pomnika, komitet zaś, umyślnie w tym celu wybrany, rozpoczął starania o zebranie potrzebnych funduszów, zapraszając do udziału miejscowe instytucye i stowarzyszenia, wychodząc jednak z zasady, że pomnik ten ma powstać wyłącznie ze składek górali z Zakopanego, tak jak też i pracować koło niego będą tylko miejscowe siły.

Miejsce pod pomnik wybrano na Rynku, obok hotelu „Morskie Oko" i tak raźnie zakrzątnięto się koło projektowanego dzieła, iż poświęcenie kamienia węgielnego pod pomnik odbyło się w dniu 23 lipca b. r., odsłonięcie zaś nastąpi nieodwołalnie w dniu 15 sierpnia, kiedy jeszcze Zakopane roi się od gości z poza kordonu.

Uroczystego poświęcenia dokonał wobec tłumów publiczności ks. prałat Kaszelewski. W tem prawdziwem święcie narodowem wzięły udział tak gromady miejscowej ludności jak i prawie wszyscy letnicy, komitet, członkowie „Sokoła" i ochotnicza straż pożarna ze sztandarem. W rynku ustawiono fundamenty, obok nich zaś w czterech rogach słupy, przybrane zielenią i flagami o barwach narodowych. Po odprawieniu ceremonii kościelnej przemówił ks. prałat. Kaszelewski, podnosząc zabiegi komitetu, który energicznie zabrał się do dzieła, następnie odczytano pamiątkowy akt poświęcenia, wreszcie imieniem komitetu przemówił p. Fr. Garlica, składając serdeczne podziękowanie wszystkim ofiarodawcom.

Projekt pomnika, opracowany przez rzeźbiarza p. Brzegę, mieszkańca Zakopanego, spotkał się z ogólnem uznaniem i pomimo skromnych rozmiarów będzie prawdziwą ozdobą perły naszych Tatr.

## Kurs samorodnego spajania metali.

Krakowski instytut popierania rękodzieł, pozostający obecnie pod kierunkiem inżyniera Stanisława Tilla, rozwija bardzo skuteczną działalność, urządzając w pewnych odstępach czasu zawodowe kursy, mające uzupełnić wykształcenie rękodzielników na szych.

Ostatni taki kurs odbył się w połowie lipca br. w gmachu miejskiego muzeum techniczno-przemysłowego a przeznaczony był na naukę samorodnego spajania metali. Fundusze na ten cel ofiarowała gmina m. Krakowa, Wydział krajowy i Izba handlowo-przemysłowa.

Na kurs uczęszczało około 20 słuchaczów, którzy zaznajomili się zupełnie dokładnie z tym najnowszym działem techniki przemysłowej. Kurs zakończono uroczystem zamknięciem w obecności wiceprezydenta miasta radcy dworu Sarego, sekretarza Izby handlowej i przemysłowej dra Benisa, grona przełożonych cechów oraz gości, zaproszonych przez kierownictwo. Imieniem grona słuchaczów podziękował p. Rożen inicyatorom i kierownikom kursu inż. Tillowi i inż. Weberowi za ich pracę i starania, zapewniając przytem, że kurs z pewnością dodatni wywrze wpływ na rozwój przemysłu metalowego w Galicyi.

Równocześnie odbyła się wystawa prac uczestników kursu. Prace uczniów wykazały zupełne opanowanie teoryi samorodnego spajania metali i dały najlepszy obraz wartości nowej metody.



Uroczystość narodowa na Podhalu: Wojciech Brzega, twórca pomnika.

Należy się spodziewać, że metoda ta, u nas dotychczas bardzo mało znana i stosowana, obecnie spopularyzuje się powszechnie i ułatwi rozwój przemysłu metalowego, tem bardziej, że ma ona zastosowanie przedewszystkiem w małych warsztatach.

Zaznaczyć jeszcze należy, że nowa metoda wymaga od robotnika pewnej inteligencyi i samodzielnego myślenia, co jest również stroną bardzo dodatnią.



Uroczystość narodowa na Podhalu: Grupa uczestników poświęcenia kamienia węgielnego pod pomnik grunwaldzki w Zakopanem.

# Kronika tygodniowa.

A więc JE. Biliński został naszym regimentarzem, prezesem Koła polskiego. Trzeba przyznać temu Kołu oryginalność (nie chcemy użyć właściwej nazwy) i odwagę (i tu niech czytelnik odpowiednią nazwę dobierze). Wiadomo bowiem wszyst kim, że ten pan nie tak dawno, bo przed rokiem, wyrzucony został moralnie ze społeczeństwa, jako jednostka na szkodę jego działająca. Pamiętamy doskonale, jakie oburzenie panowało w całym kraju, gdy ten pan jako minister skarbu oświadczył, że o budowie kanałów galicyjskich mowy być nie może. Wprawdzie wszystkie rządy lat ostatnich pragnęły w skrytości ducha utrącić kanały, chociaż za nie z góry zapłaciliśmy i choć ich niewykonanie byłoby prostem oszustwem i grabieżą — mimo to jednak nie było nikogo, coby miał tę śmiałość powiedzieć, że ustawa kanałowa, uchwalona przez izby i sankcyonowana przez monarchę, zostanie podarta i wyrzucona do śmieci, jako kawałek nieużytecznego papieru. Śmiałość tę miał dopiero minister rodak Biliński. Zapomniawszy o obowiązkach ministra, któremu nie wolno lekceważyć ustaw sankcyonowanych i o obowiązkach Polaka, który staje się nie godnym tego imienia, kiedy działa na szkodę kraju, pan Biliński jako handlarz bez przekonań i uczuć, wszystko na złoto obliczający, nie wahał się uczynić posłom sejmowym propozycyi.... odszkodowania. Za 700 czy 400 milionów, bo tyle kanały miały kosztować, zaproponował krajowi 120 milionów. A później nawet cynicznie oświadczył, że i za tę kwotę „nie ręczy". Więc nie było w danej chwili w kraju nikogo, prócz znanego aż nadto z handln przekonaniami i czem się da p. Stapińskiego, który tego czynu p. Bilińskiego nie napiętnował. Nawet *Czas*, dla którego osoba każdego ministra (prócz Głąbińskiego) stanowi nietykalne tabu, poczuł się być organem polskim i piórem, wprawdzie w cukrze maczanem, napisał, że bądź co bądź Ekscellencya Biliński jest trochę w nieporządku z obowiązkami dobrego obywatela. Ale poza *Czasem* nie liczono się ze słowami, a Koło polskie zmusiło p. Bilińskiego do złożenia teki ministra.

I po takim pięknym epizodzie swej działalności, spotkawszy się z takiem „uznaniem" ze strony całego kraju, zasiadł obecnie p. Biliński na fotelu prezesa Koła polskiego. Zasiadł, bo kupił sobie p. Stapińskiego, bo znalazł łatwe przebaczenie u konserwatystów, którzy bezwzględnie surowi dla innych, dla „swoich" są zawsze wyrozumiali. Jedynym szkopułem, o który mogło się rozbić prezesostwo p. Bilińskiego, były jego aż nadto naprężone stosunki z Escellencyą Korytowskim. Rzeczywiście, jak widzimy, na przeszkodzie stała tylko nieprzyjaźń tych rywalów do wszelkich godności, boć telegramy doniosły, że obie Ekscellencye pogodziły się (czytaj: porozumiały się co do podziału między siebie przyszłych dostojeństw). A ponieważ ci panowie pogodzili się, więc i ty kraju pogódź się z losem i przyglądaj się spokojnie, jak na czele twej reprezentacyi stoi szkodnik narodowy.

Prawda, że pan Biliński przyrzekł, iż sprawę kanałów będzie uważał za swoją i jeżeli one padną to i on z nimi padnie. Ale niestety my wiemy aż nadto dobrze, jak mało można wierzyć naszym politykom, zwłaszcza w rodzaju p. Bilińskiego. Toż i nieświętej pamięci p. Dulęba obiecywał padać z kanałami, a choć do ich wykonania nie przychodziło i całkiem o nich zapomniano, siedział sobie wygodnie na beztekowym fotelu i spadać z niego nie myślał. Dopiero trzeba było znów energicznego wystąpienia ówczesnego prezesa Koła Głąbińskiego, aby zepchnąć z siedzenia tego ładnie zbudowanego manekina, tę figurkę porcelanową, ale nie z sewrskiej wypaloną gliny. Pan Biliński jest od niego o tysiąc procent sprytniejszy, więc nietylko padać nie będzie, ale się prawdopodobnie podniesie. Kanały będą w miejscu stały i on stać będzie, kanały naprzód się nie poruszą ale on się posunie. Już dziś słyszymy, jak mają nas w Wiedniu urządzić: 50 milionów ma kosztować jakiś kanałek z Krakowa do Oświęcimia (50 milionów to zaledwie procent roczny od kwoty niegdyś preliminowanej), a za „dobrodziejstwo" dla Galicyi parlament innym krajom ma uchwalić odszkodowanie. Są to istne drwiny, boć właśnie kanały miały być odszkodowaniem dla Galicyi za miliard wyrzucony na koleje alpejskie i za kilkaset milionów danych innym krajom, oraz Wiedniowi, który na swe potrzeby otrzymał setkę milionów z kasy państwowej.

I wybór p. Abrahamowicza wiceprezesem Koła polskiego jest wysoce znamienny. Bo i ten jegomość, którego wieczna walka z prawdomównością stała się przysłowiową, wyleciał również z fotelu ministeryalnego za obojętne traktowanie spraw powierzonych jego pieczy, a między innemi i kanałowej. I to był już polityczny nieboszczyk, ale jeżeli prawdziwi nieboszczycy wstają z grobu podczas wyborów, to nie dziw, że u nas, gdzie wszystko możliwe, zmartwychwstają i nieboszczycy polityczni. Jaką jednak korzyść z tych półtrupów kraj odniesie, o tem się niestety wkrótce na własnej skórze przekonamy. Naprzód z żywymi tylko można iść.

A powstaje z grobu i p. de Rydzyna Loewenstein. Proszę czytelników, aby w tem miejscu kroniki mojej wstali i kronikarzowi, jako prorokowi, pokłon oddali. Pisałem bowiem przed miesiącem, że ten adwokat i wspólnik sprzedawczyków, tylko dla przyzwoitości udaje, że nie przyjmie mandatu złożonego po masakrze drohobyckiej. Pisałem, że znajdzie się taka deputacya, co go prosić będzie, aby nie opuszczał Koła polskiego, aby ulitował się nad krajem. Na początek nie deputacya (jak to zaznaczyłem) ale demokracya bezprzymiotnikowa skompromitowała się taką prośbą. Ale był to wstęp tylko, bo przepowiednia moja ziściła się co do słowa. Była już deputacya z Drohobycza i błagała bohatera Rydzyny o cofnięcie rezygnacyi z mandatu. Ale on, jako mąż wykuty w granicie, odtrącił kuszące namowy. Lecz kiedy deputacya zapytała, co zrobiłby, gdyby go Drohobycz wybrał na nowo, oświadczył, że nie miałby serca odmówić tak wyraźnie objawionej woli ludu. Komedya i komedyant — ale marna komedya, bo z góry jej przebieg przewidzieć było można — i marny komedyant, bo grając rolę bohatera, do śmiechu widzów pobudza. Ale co go to obchodzi — on zmartwychwstaje, a na mogiłach ofiar masakry drohobyckiej już ziele porasta.

Porasta ziele już i na... zjeździe przyrodniczym i lekarskim, który się odbył w Krakowie przy niezwykle wielkiej liczbie uczestników. Co prawda była to medycyna i przyroda pojęta bardzo szeroko, więc też i szerokie zjazd objął koła. Mieli osobne sekcye rolnicy, filozofowie, geografowie i t. d. Nie wiem dlaczego nie utworzono sekcyi malarskiej, boć był odczyt o „Krajobrazie" i referat „Psychologia wobec malarstwa". Słusznie należałaby się sekcya prawnikom, już choćby z tego względu, że testamenty i wogóle sprawy spadkowe stoją w bezpośrednim związku ze śmiertelnością i chorobami. Powinna była zawiązać się i sekcya dziennikarsko-literacka, boć literaci i dziennikarze zażywają lekarstwa, a poeci pięknie nieraz piszą o przyrodzie. A do nieprzebaczenia był brak sekcyi kucharskiej, boć jak wiadomo żołądek to gospodarz domu, a połowa cierpień pochodzi od złego zaspakajania potrzeb tego gospodarza. Żart żartem, ale dalibóg, że kuchnia jest bliższą medycyny i przyrody, niż „Definicya prawdy" którą referował dr. Łukasiewicz, lub wspomniana już „Psychologia wobec malarstwa".

Za przykładem „szerokości" zjazdu poszła i wystawa balneologiczna. Oprócz rabczańsko-szczawnicko-krynicko-iwonicko — i tak dalej — żegiestowskich wód, mułów, borowin, soli, planów, prospektów, flaszek, modeli urządzeń, dyplomów, medali i t. d. miałeś tam szanowny zwiedzaczu przeróżne „stroje miejscowe", rzeźby zakopiańskie, marmury krzeszowickie, artykuły sportowe firmy Auto, kłódki świątnickie, tutki do papierosów Herliczki, oraz setki innych rzeczy równie balneologicznych, a wreszcie, aby niczego balneologicznego nie brakowało, sztuciec podwójny ekspress p. Splichala i jeszcze kilka w tym rodzaju instrumentów strzelająco-balneologicznych. Skąd one się tam wzięły, nie wiadomo — zapewne z tej racyi, że ludzie kąpiący się nieraz swe rzeczy na kłódki zamykają, czasem po kąpieli lub przed kąpielą papierosy palą, że wreszcie przy wodach szczawnickich lub innych nie zabrania się strzelać tak ze sztućca jak wszelkiego innego zabijadła.

A obok wystawy balneologicznej otwarto na czas zjazdu i wystawę browarniczą. Szło o kontrast, o pokazanie publiczności, że nietylko rozmaite „świństwa" mamy do picia, ale że możemy się leczyć środkami o wiele smaczniejszemi. Urzędownie nazywała się ta wystawa poglądową, w celu usunięcia z konsumpcyi piw obcych pozakrajowych. Więc patrzeliśmy z uznaniem na eliksir życia okocimski, na zdrowotny bok żywiecki, na wzmacniający napój tenczyński, na hygieniczne fabrykaty krasiczyńskie. Dziwna rzecz jednak, iż pomimo tego uznania dla wyrobów krajowych, członkowie zjazdu składali hołd pilznerowi w świątyniach Wentzla i Hawełki. Również, o ile mi wiadomo, uprawiali kult prazdrojów węgierskich, nie obawiali się nawet okazywania sympatyi prazdrojom szampańskim, mimo ich rewolucyjnego usposobienia.

Ten kult dla sztucznych środków leczniczych jest stałym objawem wszelkich zjazdów, a w pierwszym rzędzie zjazdów dziennikarzy słowiańskich. Można nawet powiedzieć, że te zjazdy jedynie w tym celu są zwoływane, aby przeprowadzić studya nad tem, czem i w jakiej mierze każdy naród słowiański leczy swoje moralne cierpienia. Studyowano to już w Zagrzebiu, Pradze, Lublanie, Krakowie, Pilznie (czeskim), a przed paru tygodniami w Białogrodzie serbskim. Przekonano się, że Czesi zalewają przeważnio swego „robaka" piwem, że Polacy mają szczególną predylekcyę do starki, pomarańczówki (w ostatnich czasach morelówki), że wreszcie nasi południowi bracia najczęściej topią swe troski w napoju kwaskowatym, wino przypominającym; wszystkie zaś te nacye, o ile je stać na to, przeplatają wyroby krajowe obcymi falsyfikatami koniaku i szampana. Jestto jedyny ich punkt styczny, na którym nie panuje różnica przekonań. I przy tym też punkcie następują najsilniejsze wylewy uczuć braterskich. Ponieważ zbytek ich jednak, jak wszelkie wogóle przekroczenie granic, szkodzić może i musi, przeto nie było jeszcze zjazdu dziennikarzy słowiańskich bez mniejszej lub większej awantury. I teraz nas dochodzą wieści z Belgradu, że zbytnie dolewanie wina i uczuć, braterską zgodę zakłóciło niebraterską kłótnią. Jak tam było rzeczywiście, trudno dociec, bo relacye są sprzeczne. Ale mniejsza o to, jak było, dość, że było. Możemy się o tyle pocieszać, że urzędowo na zjeździe belgradzkim nie braliśmy udziału — pojechało na niego kilku ochotników na własną rękę, więc czy odnieśli sukces, jak twierdzą, czy też doznali nieprzyjemności, to nas nic obchodzić nie może.

Obchodzić nas natomiast powinno to, co się stanie 5 sierpnia w Raperswillu. Rada nadzorcza Muzeum zapewne nie czytała wskazówek kronikarza, co ma czynić wobec podnoszonych poważnych zarzutów, a jednak postąpiła zgodnie z myślą na tem miejscu rzuconą. Nie uznała prawa ochotników wybierających się do Raperswillu, aby wolę swą narzucić, natomiast sama zaprosiła z kraju kilkanaście wybitnych jednostek na swoje doroczne zgromadzenie. Rzeczą zaproszonych będzie rozpatrzeć sprawę i załatwić ją pomyślnie. Szkoda tylko, że między zaproszonymi mało jest ludzi fachowych, obeznanych ze sprawami muzealnemi. W każdym razie w gronie tych, co mają jechać na zaproszenie Rady nadzorczej, spotykamy nazwiska kilku najwybitniejszych historyków, a tym chyba nie obce są muzea i ich potrzeby.

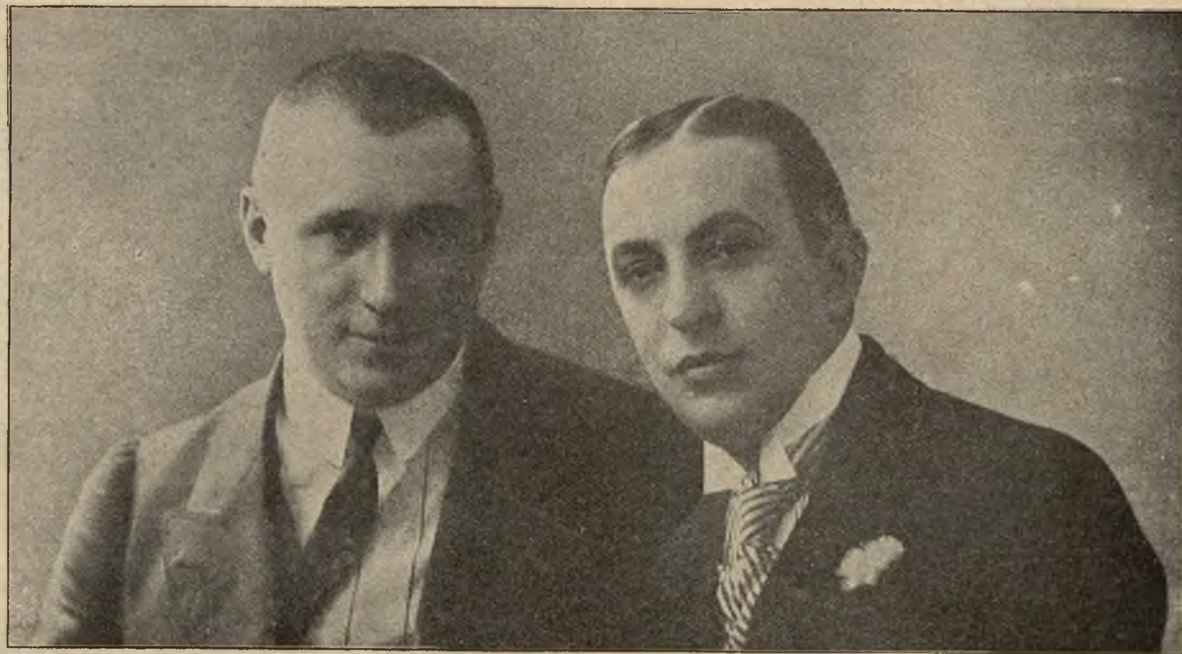
## Operetka lwowska.

Sezon opery i operetki w teatrze krakowskim dobiega końca. Minął szybko, jak „sen jaki złoty“, jak wszystko, co miłe i sympatyczne. W krótkim stosunkowo czasie przewinął się przez scenę krakowską cały szereg starych i nowych utworów, lepszych i słabszych, wesołych i tragicznych, przewinęli się śpiewacy i śpiewaczki, znani z dawniejszych lat i nowi, których dopiero w tym roku poznaliśmy.



Operetka lwowska: Henryk Miller.

Na ogół kończący się sezon należał do bardzo dobrych, nic dziwnego też, że publiczność chętnie śpieszyła do teatru i niemal codziennie zapełniała widownię do ostatniego miejsca.



Operetka lwowska: Józef Zaremba i Filip Kuligowski, reżyserowie operetki (Fot. „Adela“)

Największem powodzeniem, jak zwykle w Krakowie, cieszyła się operetka. Zwłaszcza niektóre nowe utwory lekkiej muzy, jak „Miłość cygańska“ i „Dziewczyna z lalką“, z dawniejszych zaś „Krysia leśniczanka“ i „Hrabia Luksemburg“ podobały się nadzwyczajnie.

Wśród personalu operetkowego zmiany zaszły niewielkie. Odnowiliśmy znajomość z zawsze znakomitemi, niezrównanemi podporami lwowskiej operetki pp. Kasprowiczową, Kliszewską, Miłowską, dalej z tak dobrze w pamięci naszej zapisanymi śpiewakami jak Dobosz i Kuligowski oraz sympatycznymi komikami Kalinowskim, Solnickim, Zarembą.

Z nowych sił kobiecych bardzo dodatnio wyróżniły się pp. Borowska, znana w Krakowie z „Momusa“, jako znakomita wykonawczyni piosenek starej Warszawy, oraz młoda adeptka sceny, Ludwika Blumentalówna, Stanisławowianka, która po ukończeniu studyów w znakomitej szkole Paschalis Souwestrów, poświęciła się karyerze teatralnej. Prócz paru mniejszych ról wykonała ona rolę tytułową w najnowszej operetce Falla „Dziewczyna z lalką“ i zyskała ogólne uznanie zarówno za wokalne jak sceniczne opracowanie pięknej roli. Duży temperament, ładny, dobrze wyszkolony głos, a przytem ogromnie ujmujące warunki zewnętrzne, zapewniają p. Blumentalównej piękną przyszłość.

Ogromnem powodzeniem cieszy się także Henryk Miller, znany krakowianom z występów w „Momusie“, śpiewak, obdarzony prześlicznym głosem barytonowym i wzorową dykcyą, której zazdrościć mu mogą najwybitniejsi śpiewacy operowi. Nie ulega też wątpliwości, że p. Miller, obeznawszy się należycie ze sceną i nabrawszy rutyny, przeniesie się do opery, w której czeka go przyszłość bardzo duża.

Osobna wzmianka należy się jeszcze komikowi Kadenowi, „koledze“ p. Borowskiej z „Momusa“, który w kilku charakterystyczno komicznych rolach bardzo dodatnio się wyróżnił.

Reżyserya operetki spoczywa obecnie w młodych ale energicznych rękach pp. Kuligowskiego i Zaremby. Trudnem, a odpowiedzialnem zadaniem dzielą się obaj ci artyści, obu też należą się słowa uznania za sumienne wykonywanie obowiązków. Nie ulega



**Kurs samorodnego spajania metali:** Uczestnicy kursu z nauczycielami i kierownikiem inż. St. Tillem, (X) w pośrodku.

wątpliwości, że praca obu młodych reżyserów uwidoczniła się bardzo dodatnio na przedstawieniach nowych operetek. Staranne dobranie zespołu, doskonałe wykonanie scen zbiorowych, przedewszystkiem



Adam Didur.

zaś zatarcie trywialności, które dawniej psuły nieraz całe wrażenie przedstawienia, należy zapisać na dobro młodej „spółki reżyserskiej".

Strona choreograficzna przedstawień stała również na wysokim poziomie. Doskonała dwójka tancerzy-solistów, pp. Burkacka i Koszutski, oraz znani z dawniejszych lat pp. Porajówna i Bańkowski, przyczyniali się niemało do ożywienia przedstawień i zdobywali zawsze za udatne tańce, czy to w operach czy operetkach lwią część oklasków.

Niepodobna pominąć wreszcie sumiennej pracy prof. Słomkowskiago, który od tylu lat zajmuje stanowisko kapelmistrza operetki i tak zaszczytnie z trudnego zadania się wywiązuje.

* * *

Prawdziwą biesiadę artystyczną przygotowała dyrekcya krakowskiego teatru na sam koniec sezonu. Będzie nią szereg występów znakomitego polskiego basisty, Adama Didura, śpiewaka światowej sławy, który wystąpi w Krakowie w kilku swych popisowych rolach, mianowicie dwukrotnie jako Mefisto w „Fauście" i Kiecal w „Sprzedawnej narzeczonej" a raz jako don Basillo w „Cyruliku Sewilskim".

Za współudział Didura w ostatnich przedstawieniach opery, należy się dyrekcyi szczera wdzięczność i uznanie.

## Zgon młodego wydawcy.

Jeden z młodych, a energicznych wydawców w Królestwie polskiem, Józef Unger, syn zmarłego niedawno ś. p. Gracyana, zakończył przed kilku dniami życie, po krótkiej chorobie. Dotkniętej ponownie ciężkim ciosem rodzinie, towarzyszy ogólne współczucie.

## Nowa afera szpiegowska.

Jeszcze nie przycichły niedawne afery szpiegowskie, jakiemi zajmowała się policya krakowska i lwowska, gdy znów doniesiono o aresztowaniu w Przemyślu niejakiej panny Ireny Trąpczyńskiej, podejrzanej o szpiegostwo wojskowe na rzecz jednego ze sąsiednich mocarstw.

Młoda, około dwadzieścia pięć lat licząca panna, dość przystojna i łatwo dostępna, przybyła przed kilku tygodniami do Przemyśla i zamieszkała w hotelu „Victoria", gdzie podała, że jest studentką uniwersytetu zurychskiego, pochodzi z Warszawy, a jest córką inżyniera. Utrzymywać się miała z lekcyi prywatnych.

To jednak zastanowiło policyę, iż rzekoma nauczycielka przyjmowała odwiedziny wyłącznie oficerów i podoficerów artyleryi. Czułe sam na sam odbywały się najpierw w hotelu, potem w prywatnem mieszkaniu Trąpczyńskiej; chodziło o wydobycie pewnych tajemnic wojskowych. Zdradził ją wreszcie pewien artylerzysta, a policya przeprowadziła w jej

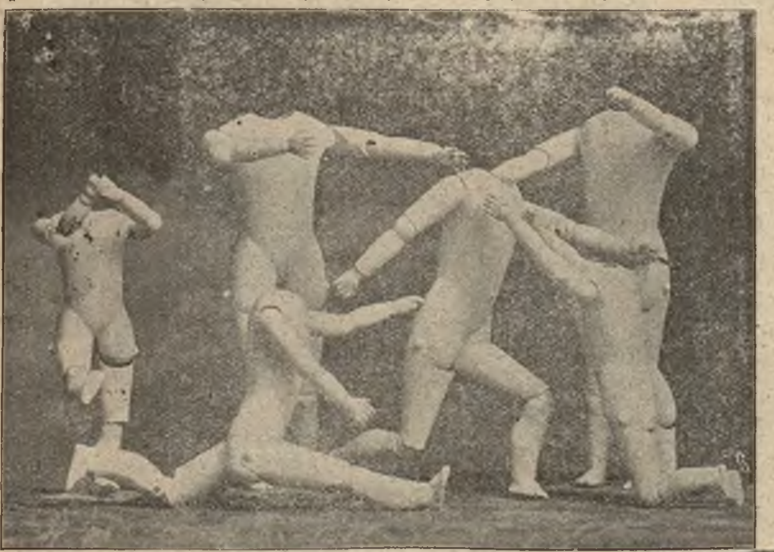


Nowa afera szpiegowska: Podejrzana o szpiegostwo Irena Trąpczyńska.

mieszkaniu rewizyę, przy której miano znaleść cały szereg map, planów i szkiców, odnoszących się do fortyfikacyi Przemyśla, ponadto kilka aparatów fotograficznych, z których jeden podobno bardzo kunsztowny, umieszczony był rzekomo w kapeluszu.

Trąpczyńską odstawiono do aresztów sądu karnego.

Samo żądanie od Publiczności, aby wspierała przemysł krajowy, nie wystarczy. Należy ją do tego



czemś zachęcić: jużto tańszym towarem, jużto lepszym wyrobem aniżeli go zagranica dostarcza.

Jest to ogólna zasada, która odnosi się przedewszystkiem do zabawek a w szczególności do lalek.

Lalka jest bezsprzecznie najważniejszą zabawką dla dziewczynki. O ile zabawka przeciętnie dziecko tylko chwilę bawi, o tyle jest lalka u dziewczynki od pierwszych wiosen jej życia jedyną zabawką do lat szkolnych a czasem i dłużej.

Mamusie najlepiej wiedzą, co lalka nieraz znieść musi. A o ile ona nie jest dość silnie zbudowana, o dobrze ruchomych członkach a przynajmniej o blaszanej głowie, to zaraz w pierwszych chwilach uciechy w kawałki się rozpada. Co stąd za rozpacz!

W większych miastach istnieją kliniki dla lalek, które pacyentkę wnet uzdrowią, ale na prowincyi?

Chcąc te braki usunąć skonstruowała nasza **krakowska fabryka lalek przy ul. Wolskiej** nową lalkę, którą doprowadziła rzeczywiście do doskonałości. Illustracya nasza uwidacznia ją graficznie. Na prawo sam szkielet w różnych pozycyach a na lewo model zupełnie do użytku gotowy.

Należy uznać, że lalka jest bardzo praktyczna i trwała a przytem stosunkowo nie droga. Tym sposobem połączona jest rzecz dobra z praktyczną,



wyrób ten zatem zasługuje w całej pełni na poparcie, tak ze względu na jakość towaru, jak i na nader umiarkowane ceny.

# Ze świata kobiecego.

## Stroje wycieczkowe.

Upały coraz bardziej dają się we znaki; każda toaleta zdaje się uciążliwą, każdy wysiłek nadmiernym. A jednak góry roją się od towarzystw, wśród których zawsze znajdziemy choć jedną kobietę. I stwierdzonem jest, że dzięki znanej krańcowości natury kobiecej, ta sama dama, która dzień jeden spędziła omdlewająca z gorąca, w cieniu drzew, w hamaku, uważając przejście od altany do willi za męczące, nazajutrz, gdy energiczny przewodniczący wycieczki potrafi zachęcić odpowiednio, wędruje kilka godzin w upał pod górę, aby po niedługim wypoczynku, zstępować z niej znowu w pocie czoła. I litość bierze patrzeć na te turystki amatorki, jak się najczęściej wybierają na wycieczki: buciki na francuskich, olbrzymich obcasach, suknia modna, wąska, bluzka ze sztywnym angielskim kołnierzem, turbanik na głowie, więc *par conséquence* parasolka w ręku, boć trzeba się chronić od upalnych promieni słońca. Rezultatem takiego wyekwipowania bywa: wykręcenie lub odłamanie obcasów, kilka przewróceń przy przestępowaniu rozpadlin lub strumieni, opalenie z powodu niemożności otworzenia parasolki w trudnych przejściach, zmęczenie i powrócenie z pół drogi. Ale powiedzą mi czytelniczki: Jakaż na to rada? Suknia szeroka niemodna, sandały przy europejskiej toalecie będą wyglądały rażąco i szkaradnie.



Kapelusz z popielatego włosia, odwinięty z przodu, nad rondem paleta z jedwabiu *cerise*, tył kapelusza przybrany gazą popielatą.

A jednak tu i ówdzie panie zaczęły wprowadzać do skonały zwyczaj ubierania się na wycieczki w stroje ludowe. Ma to wiele stron dodatnich: najpierw strój to ze wszechmiar wygodny, praktyczny i tani, powtóre prześlicznie harmonizuje z warunkami natury, każda z pań zyskuje na wdzięku i może bardziej niż w sukni modnej wykazać wrodzoną gracyę. Strój wieśniaczy, barwny z natury, ślicznie wygląda na tle lasów i gór i doprawdy dusza się śmieje, gdy tak wśród szarej gromadki panów zabarwi się na ścieżce kwiecista spódniczka i czerwona chusteczka. Ale nawet i w strój wieśniaczki trzeba umieć się ubrać. Przeto nie radzę stanowczo sprawiania sobie spódnic, z bardzo ładnych zresztą, kaszmirów drukowanych w kwiaty, tak zw. „bronowickich"; niezmiernie miękkie, zaczepiają się o gałęzie i skały, w razie deszczu puszczają farbę i niszczą się odrazu. Bardzo praktyczne, choć trochę ciężkie, są samodziały w paski, jakie wyrabiają we wschodniej Galicyi, Księstwie łowickiem i w kilku jeszcze miejscowościach Królestwa i Galicyi. W braku tych, zwyczajny perkal, na czerwonem lub białem tle mający barwne bukiety, będzie stanowił spódniczkę ładną i łatwą do prania. Suto marszczona i krótka, będzie wygodną do chodzenia, a nie rażącą, bo nie musi być modną. Fartuch kwiecisty, koniecznie tłem jaśniejszy od spódnicy, oddaje niezmierne w wycieczce usługi; biała koszulka, o bufiastych rękawach, korale i wstążki. Nie obowiązkowym do tego stroju, ale bardzo go podnoszącym, jest gorset krakowski, których tysiączne rodzaje mogą dostosować się do



Suknia z fularu deseniowego, żakiecik directoire, w kształcie chusteczkowym w barwie odmiennej według tabeli połączeń wykazanych w poprzednim numerze. Kapelusz z jedwabiu o dwóch tonach — tła spódnicy i koloru żakiecika.

każdego gustu. Również ładny, a w razie deszczu lub powrotu po zachodzie słońca praktyczniejszy jest kaftan krakowski z deseniowego welwetu, z wąskimi rękawami i baskiną, przybrany złotym galonem i koralami. Na głowie (o rozkoszy!) żadnych podkładek i loków. Niech czekają w pudełku na powrót właścicielki i zrobienie toalety wieczornej. Chustka chłopska może i powinna spocząć na gładko uczesanych włosach. A jaka z niej wygoda! Póki idzie się w cieniu może być zawiązana kokieteryjnie z tyłu głowy; na wietrze i słońcu, zawiązana pod brodą, chroni przed roztarganiem się i opaleniem. Przed opaleniem?... Bądźmy szczerzy; ani chustka, ani wielki kapelusz, ani parasolka nie uchroni w zupełności od opalenia; opala na równi ze słońcem wiatr i skwarne powietrze, refleksy rozpalonych ścian i granitów, a nawet gwałtowne przejścia od upału do zimna, tak właściwe szczególniej górom. A jednak nie podobna wyrzec się dlatego słońca i powietrza, tak koniecznych nietylko dla zdrowia ale i urody kobiety. Nie trzeba przeto unikać okazyi do opalenia, ale trzeba czynić je mniej łatwem i leczyć już nabyte. Pierwszemu zapobiega się w znacznej części przez wysmarowanie twarzy przed wycieczką wazeliną lub *crème-Simon*, lekkie wytarcie jej i posypanie mąką ryżową. Po dniu upalnym zaś trzeba zastosować środek bardzo prosty a stanowczo skuteczny: bierze się 150 gramów czystej gliceryny i z 10 ma gramami krochmalu sproszkowanego, lub mąki kartoflanej, rozciera się w miseczce porcelanowej i zagrzewa ostrożnie, mieszając ciągle, póki nie stanie się galeretowatą masą; dla przyspieszenia tego procesu dobrze jest dodać kilka kropel wody. Drugi sposób przyrządzania tej masy jest następujący: 20 gramów mąki kartoflanej lub krochmalu, 15 gr. gliceryny, 5 gr. olejku migdałowego. W obu wypadkach można nadać zapachu kilku kroplami odpowiedniej esencyi. Wieczorem trzeba obmyć twarz wodą z domieszką benzoesu, potem smaruje się ją kawałkiem waty wyżej wskazaną substancyą, pozwala się jej przyschnąć i zmywa dopiero nazajutrz rano. Środek przeciw opaleniźnie niezawodny.

*Ramo..*



Kapelusz z tagali bleu-gris, róże w kilku tonach od bladoniebieskiego do ciemno-lila; kokarda wielokrotnie związana z fijołkowego aksamitu.

# ZAMKNIĘCIE RACHUNKÓW TOWARZYSTWA WZAJEMNYCH UBEZPIECZEŃ W KRAKOWIE.

## Rachunek zysków i strat z działu ogniowego za czas od 1. stycznia 1910 do 31. grudnia 1910 r.

**Rozchód.**

| | | K | h | K | h |
|---|---|---|---|---|---|
| I. | Szkody i koszta likwidacyi wypłacone | 8,458.758 | 94 | | |
| | mniej zwrot od Towarzystw kontrasekuracyjnych | 2,724.800 | 62 | 5.733.958 | 32 |
| II. | Ogólne wydatki zarządu po potrąceniu prowizyi kontrasekuracyjnej | | | 2,258 900 | 72 |
| III. | Odpisy i inne wydatki | | | 1.376.114 | 44 |
| IV. | Rezerwa na szkody nieuregulowane | 1,845.887 | 10 | | |
| | mniej udział Towarzystw kontrasekuracyjnych | 1.055.509 | 75 | 790.377 | 35 |
| V | Stan funduszów z końcem roku 1910 | 16,863.504 | 18 | | |
| | mniej kontrasekuracya | 1,728 577 | 25 | 15,134.926 | 93 |
| VI. | Pozostałość | | | 962 836 | 02 |
| | | | | 26,197.213 | 78 |

**Przychód.**

| | | K | h | K | h |
|---|---|---|---|---|---|
| I. | Fundusze przeniesione z r. 1909 | 16,847.043 | 07 | | |
| | mniej kontrasekuracya | 1,324.447 | 06 | 15,522.596 | 01 |
| II. | Fundusz na szkody nieuregulowane przeniesiony z r. 1909 | 1,273.622 | 85 | | |
| | mniej kontrasekuracya | 350.295 | 26 | 923.327 | 59 |
| III. | Zebrana premia | 12.887.456 | 56 | | |
| | mniej kontrasekuracya | 4,321.443 | 14 | 8,566 013 | 42 |
| IV. | Przychód z lokacyi kapitałów | | | 516.537 | 55 |
| V. | Inne przychody | | | 668.739 | 21 |
| | | | | 26,197.213 | 78 |

## Rachunek bilansu z działu ogniowego z dniem 31. grudnia 1910 r.

**Stan czynny.**

| | | K | h | K | h |
|---|---|---|---|---|---|
| I | Stan kas z dniem 31 grudnia 1910 | | | 355 031 | — |
| II. | Rozporządzalne należytości w instytucyach kredytowych i kasach oszczędności | | | 1,170.733 | 74 |
| III. | Realności | | | 1,830.000 | — |
| IV. | Papiery wartościowe według kursu z dnia 31 grudnia 1910 | | | 10,741.072 | 91 |
| V. | Weksle w portfelu | | | 176.660 | 22 |
| VI. | Salda czynne rachunków z Towarzystwami kontrasekuracyjnemi | | | 1,784.974 | 67 |
| VII. | Zaległości w agenturach i filiach (salda czynne) | | | 2,311 507 | 34 |
| VIII. | Różni dłużnicy | | | 2.845 281 | 73 |
| IX. | Efekta kaucyi agentów | | | 558.614 | 88 |
| | | | | 21,773.876 | 49 |

**Stan bierny.**

| | | K | h | K | h |
|---|---|---|---|---|---|
| I | Fundusz rezerwowy | | | 7,741.061 | 78 |
| II. | Fundusz na zwroty | | | 191.384 | 55 |
| III. | Fundusz wyrównawczy i specyalny | | | 3,261.256 | 42 |
| IV. | Fundusz na różnice kursu | | | 21.282 | 65 |
| V. | Rezerwa premii | 5 166.568 | 88 | | |
| | mniej kontrasekuracya | 1,728.577 | 25 | 3,437.991 | 63 |
| VI. | Rezerwa na szkody nieuregulowane | 1,845.887 | 10 | | |
| | mniej kontrasekuracya | 1,055.509 | 75 | 790.377 | 35 |
| VII. | Fundusz emerytalny | | | 3,101.047 | 66 |
| VIII. | Salda bierne rachunków z Towarzystwami kontrasekuracyjnemi | | | 460.713 | 72 |
| IX. | Różni wierzyciele | | | 140.225 | 50 |
| X. | Kaucye agentów | | | 558.614 | 88 |
| XI. | Fundusze różne | | | 1,166.984 | 33 |
| XII. | Pozostałość | | | 902.936 | 02 |
| | | | | 21,773.876 | 49 |

## Rachunek zysków i strat z działu gradowego za czas od 1. stycznia 1910 do 31. grudnia 1910 r.

**Rozchód.**

| | | K | h | K | h |
|---|---|---|---|---|---|
| I. | Szkody i koszta likwidacyi wypłacone | 2.022.420 | 34 | | |
| | mniej zwrot od Tow. kontrasekurac. | 634.027 | 64 | 1,388.392 | 70 |
| II. | Ogólne wydatki zarzadu po potraceniu prowizyi kontrasekuracyjnej | | | 134.631 | 23 |
| III. | Odpisy i inne wydatki | | | 40 670 | 84 |
| IV. | Fundusz na szkody nieuregulowane | | | 25.216 | 07 |
| V. | Stan funduszów z końcem r. 1910 | | | 3.007 647 | 49 |
| | | | | 4.596.558 | 33 |

**Przychód.**

| | | K | h | K | h |
|---|---|---|---|---|---|
| I. | Fundusze przeniesione z r. 1909 | | | 2,944.245 | 25 |
| II. | Zebrana premia | 1,979.594 | 31 | | |
| | mniej kontrasekuracya | 707.965 | 25 | 1,271.629 | 06 |
| III. | Fundusz na szkody nieuregulowane przenies. z r. 1909 | | | 41.064 | 75 |
| IV. | Przychód z lokacyi kapitałów | | | 103.796 | 74 |
| V. | Inne przychody | | | 159.627 | 73 |
| VI. | Niedobór | | | 76.194 | 80 |
| | | | | 4,596.558 | 33 |

## Rachunek bilansu z działu gradowego z dniem 31. grudnia 1910 r.

**Stan czynny.**

| | | K | h | K | h |
|---|---|---|---|---|---|
| I. | Rozporządzalne należytości w instytucyach kredytowych i kasach oszczędności | | | 25.211 | 70 |
| II. | Papiery wartościowe według kursu z dnia 31 grudnia 1910 | | | 2,428.071 | 66 |
| III. | Weksle w portfelu | | | 152 262 | 57 |
| IV. | Salda czynne rachunków z Towarz. kontrasekuracyjnemi | | | 39.071 | 93 |
| V. | Różni dłużnicy | | | 35 675 | 84 |
| VI. | Pożyczka z funduszu rezerwowego | | | 418.848 | 45 |
| VII. | Niedobór | | | 76 194 | 80 |
| | | | | 3,175.336 | 95 |

**Stan bierny.**

| | | K | h | K | h |
|---|---|---|---|---|---|
| I. | Fundusz rezerwowy | | | 2,875.190 | 76 |
| II. | Fundusz wyrównawczy i specyalny | | | 116.469 | 23 |
| III. | Różni wierzyciele | | | 77.978 | 73 |
| IV. | Fundusz na szkody nieuregulowane | | | 25.216 | 07 |
| V. | Salda bierne rachunków z Towarzystwami kontrasekuracyjnemi | | | 2.152 | 99 |
| VI. | Fundusze różne | | | 62.341 | 67 |
| VII. | Fundusz na różnicę kursu | | | 15 987 | 50 |
| | | | | 3,175.336 | 95 |

Kraków, dnia 31. grudnia 1910.

DYREKCYA:

**M. Garapich. Ig. Głażewski. Paszkowski.**

Naczelnik centralnego biura rachunkow.: *Wiktor Gablenz.*

KOMISYA RACHUNKOWA:

**M. Dydyński. A. Wodzicki. K. Dzieduszycki. M. Urbański. T. Cieński.**

## Rachunek zysków i strat z działu życiowego za czas od 1. stycznia 1910 do 31. grudnia 1910 r.

**Rozchód.**

| | | K | h | K | h |
|---|---|---|---|---|---|
| I. | Wypłaty płatnych ubezpieczeń i rent | 3,250.094 | 74 | | |
| | mniej udział Tow. kontrasekurac. | 269.412 | 28 | 2,980.682 | 46 |
| II. | Wypłaty na wykupione police | 328.488 | 62 | | |
| | mniej udział Tow. kontrasekurac. | 7.236 | 06 | 321.252 | 56 |
| III. | Dywidenda ubezpieczonym wypłacona | | | 253 646 | 80 |
| IV. | Ogólne wydatki zarządu | | | 963.370 | 28 |
| V. | Odpisy i inne wydatki | | | 126.059 | 31 |
| VI. | Rezerwa na bieżące wypłaty szkód | 443.731 | 88 | | |
| | mniej udział Tow. kontrasekurac. | 10.000 | — | 433.731 | 88 |
| VII. | Stan funduszów z końcem roku rach. | 36,821.316 | 78 | | |
| | mniej udział Tow. kontrasekurac. | 682.470 | 76 | 36,138.846 | 02 |
| VIII. | Zysk | | | 605.038 | 58 |
| | | | | 41,822.627 | 89 |

**Przychód.**

| | | K | h | K | h |
|---|---|---|---|---|---|
| I. | Przeniesienie funduszów z roku poprzedniego | 35,310.590 | 38 | | |
| | mniej udział Tow. kontrasekurac. | 681.803 | 48 | 34,628.786 | 90 |
| II. | Rezerwa na wypłatę nieuregulowanych szkód z roku poprzedniego | 648.926 | 37 | | |
| | mniej udział Tow. kontrasekurac. | 122.516 | 75 | 526.409 | 62 |
| III. | Zebrane premie | 4,914.745 | 04 | | |
| | mniej udział Tow. kontrasekurac. | 112.926 | 37 | 4,801.818 | 67 |
| IV. | Przychód z lokacyi kapitałów | | | 1,795.028 | 62 |
| V. | Inne przychody | | | 70.584 | 08 |
| | | | | 41,822.627 | 89 |

**Stan czynny.** Rachunek bilansu z działu ubezpieczeń na życie z dniem 31. grudnia 1910 r. **Stan bierny.**

| | | K | h | K | h | | | K | h | K | h |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| I. | Zapas kasowy . . . . . . . | | | 63.689 | 89 | I. | Rezerwa zysków, kapitałów . . . . | | | 4,134.770 | 22 |
| II. | Rozporządzalne należytości w instytucyach kredytow. i kasach oszczędn. | | | 354.720 | 07 | II. | Fundusz na różnicę kursu . . . . | | | 68.123 | 15 |
| III. | Realności . . . . . . . . . . | | | 640.000 | — | III. | Rezerwa i przeniesienie premii . . | | | 31,715.018 | — |
| IV. | Papiery wartościowe według kursu z dnia 31 grudnia 1910 . . . . | | | 6,056.330 | 25 | IV. | Rezerwa na nieuregulowane szkody | | | 433.731 | 88 |
| V. | Pożyczki hipoteczne . . . . . . | | | 11.243.218 | 13 | V. | Fundusz niepodniesionej dywidendy . | | | 220.934 | 65 |
| VI. | Pożyczki na własne police . . . . | | | 4.783.159 | 22 | VI. | Salda bierne rachunków z Towarzystwami kontrasekuracyjnemi . . | | | 18.576 | 50 |
| VII. | Pożyczki stowarzyszeniom . . . . | | | 14.171.040 | 12 | VII. | Różni wierzyciele . . . . . . . | | | 435.831 | 74 |
| VIII. | Salda czynne rachunków z towarzystwami kontrasekuracyjnemi . . | | | 123.407 | 17 | VIII. | Różne kaucye . . . . . . . . | | | 37.149 | 32 |
| IX. | Zaległości w agenturach i filiach . . | | | 538.740 | 72 | IX. | Fundusz emerytalny . . . . . . | | | 771.597 | 78 |
| X. | Różni dłużnicy . . . . . . . . | | | 429.316 | 93 | X. | Zysk . . . . . . . . . . . . | | | 605.038 | 58 |
| XI. | Efekta kaucyjne . . . . . . . . | | | 37.149 | 32 | | | | | | |
| | | | | 38,440.771 | 82 | | | | | 38.440.771 | 82 |

Kraków, dnia 31. grudnia 1910 r.

DYREKCYA:

M. Garapich. Ig. Głażewski. Paszkowski.

Naczelnik działu ubezpieczeń na życie:
E. Szancer
rządowo autoryzowany technik asekuracyjny.

Naczelnik biura rachunkowego:
A. Szyszkiewicz.

KOMISYA RACHUNKOWA:

St. Dydyński. K. Cieński. Dr K. Lipowski.
K. Bzowski. Dr. Z. Kamieński.

## Podział zysku.

| | | Dział ogniowy | | Dział gradowy | | Dział życiowy | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|
| I. | Dywidendy . . . . . . . . . | 368.458 | 69 | — | — | 307.136 | 55 |
| II. | Uposażenie funduszów . . . . . | 34.477 | 33 | — | — | 297.902 | 03 |
| | Razem . . | 902.936 | 02 | — | — | 605.038 | 58 |

## Rozwiązanie zagadek z Nr. 28.

**Logogryf:**

A c h
S ł o ń
W a n d a
A l o j z y
M a r y a
I k a r
A k t
F r a k
W i l n o
O l e s k o
K i s z m
M u z a
P a c
K o z a
S z y c h
T a ń s k i
A r s e n
P i k a
D n a

**Zadanie do przestawienia:** Za króla Olbrachta wyginęła szlachta.

**Logogryf:**

D
G r a
B z u r a
B r y g a d a
O z i m i ń s k i
P o l i t e c h n i k
S a m a r a P o ł t a w a
P a n n a f l o r e n t y n a
S a n e c z k o w a n i e
P r z y p o w i e ś ć
P o k o l e n i e
L e f e v r e
W a n n a
N i l
e

**Zadanie do przestawienia:** Za króla Olbrachta wyginęła szlachta.

**Zadanie do przestawienia:** Stara miłość nie rdzewieje.

**Logogryf:**

T
K o s
R o m a n
U b r a n i e
B o s a k
T y d z i e ń
L a n c e t n i k
W ł a d z i a
C h i n y
O s a
G ł o w a
A n a n a s y

**Łamigłówka:**

Ton
ale
oda
jod
oko
lir
tor
era
los
cło
wir
bas
koc
skł

*Dobre rozwiązania nadesłali Pp:* M. Lisowska Sambor, O. Górkowa Chyrów, D. Sedyńska Zakopane, J. Jakubowska Kraków, M. Planecka Poronin, F. Gebhardt Kraków, A. Biliński Tarnopol, W. Osowski Warszawa, K. Kaim Kraków, S. Kowalówka Kraków, J. Kopczyńska Bierzanów, R. Knapik Bierzanów, S. Wiewiórowski Przemyśl, M. Wilczkiewicz Sanok, S. Rogalski Tarnów, K. Radoszewski Jasło, L. Lindenbaum Czerniowce, J. Ohrenstein Stanisławów, D. Schwadron Stanisławów, A. Gralewski Kraków, A. Pankowski Kraków, M. Wojkowski Tarnopol, J. Strojek Podgórze, I. Brzostowski Krosno, J. Świrski Skierniewice, W. Bandrowski Olkusz, S. Kwaśniewski Piotrków, J. Wilkosz Rzeszów, S. Sygnarska Tarnów, J. Martynowicz Stanisławów, J. Łopatkiewicz Kraków, H. Piątek Podwołoczyska, S. Krzyżanowski Podgórze, W. Radoszowski Rzeszów, J. Broda Tarnów, M. Antosz Sanok, O. Gliński Kołomyja, S. Balicki Stanisławów, C. Wang Rzeszów, J. Jaworski Kijów, S. Bukowski Równo, H. Maciejowska Winnica, M. Więckowska Warszawa, J. Wolny Warszawa, S. Mazur Lwów, J. Popiel Kamieniec, J. Jahoda Cieszyn, W. Błoński Kraków, J. Ciszewski Jasło, S. Kamiński Petersburg, K. Radomski Warszawa, R. Biliński Kołomyja, J. Lipowski Lwów, H. Grzybczyk Lwów, J. Wańkowicz Mińsk, R. Stolarski Podgórze, J. Pick Warszawa, H. Obst Jasło, M. Wędrychowska Sanok, M. Medyński Zakopane, T. Rzepecki Poznań, W. Urban Lwów, H. Ungar Lwów, M. Kobyłecka Stanisławów, S. Kozicki Kołomyja, K. Wiewiórowski Janów, J. Bałuk Kraków, T. Broda Strzyżów, J. Skalski Kraków, S. Lemiszewski Żółkiew, J. Gramski Tarnów, M. Bróż Sanok, J. Bernstein Warszawa, S. Sokołowski Kraków, K. Błachowski Kraków, W. Sołtysik Lwow, K. Zegartowska Bogucice, H. Figiel Sambor, K. Leszczyński Jasło, T. Nikiel Chrzanów, F. Horak Oświęcim, S. Domagalski Kraków, W. Raczyńska Sanok, J. Nowacki Śniatyn, J. Darowski Petersburg, J. Sperling Wiedeń, M. Kwiatkowska Sambor, M. Pytel Kraków, T. Mazaraki Radom, J. Trepka Sandomierz, J. Krzywicki Jasło, R. Reichenberg Cieszyn, S. Gross Sanok, L. Sobieniowski Warszawa, Z. Radzimiński Lwów, M. Münz Stryj, J. Kosowski Lwów, F. Blatterfeind Kołomyja, W. Potocka Kraków, W. Thun Płock, S. Kalinowska Podłęże, R. Linderski Siemiechów, S. Hubaczek Stanisławów, J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Poddębie, M. Klappholz Rzeszów, K. Kinn Kraków, M. Krawecka Przemyśl, J. Nowacki Jasło, D. Misiągiewicz Tarnopol, J. Kos Piotrków, K. Karpiński Gorlice, M. Arbesbauer Lwów, K. Fuchs Czeremchów, K. Szumańska Rawa Ruska.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **W. Radoszewski, Rzeszów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

## Głosy publiczne.

**Cyrk Henry.** W dniu 28 lipca b. r. rozpoczyna w budynku cyrkowym na boisku pozlotowem na Błoniach szereg gościnnych przedstawień znany w Europie **Cyrk Henry,** zostający pod kierownictwem właściciela, Henryka Koschke.

Codziennie galowe przedstawienie, w sobotę zaś 29 lipca, niedzielę 30 lipca, środę 2 sierpnia, sobotę 5 sierpnia i niedzielę 6 sierpnia odbędą się po dwa przedstawienia, popołudniu i wieczór.

Dyrekcya cyrku porozumiała się z zarządem tramwaju, w czasie przedstawienia kursować będą z Rynku wozy tramwajowe co dwie minuty.

## NADESŁANE.

# PARYSKIE GADY.

67

— Dosyć już tego! — przerwała Ewa, której łagodny uśmiech zamienił się teraz w gniew pełen oburzenia. — Pan tutaj jest u mnie, w moim pokoju i ośmiela się pan znieważać mnie... To nieszlachetnie... Słyszy pan?...

Joe Smith zamilkł. Żałował trochę swego unie sienia.

— Ja mogłam... ja powinnam wyrzucić pana za drzwi — wołała Ewa. — Chcę jednak powiedzieć, że jeżeli Panajon był takim człowiekiem, jak pan mówi, to już nim nie jest...

— Na razie... — dodał znowu Amerykanin, nie mogąc powstrzymać wybuchu zazdrości.

— Na zawsze — poprawiła Ewa.

I rzeczywiście tego rana Panajon zwrócił się do Ewy z taką przemową:

— Po długim namyśle, moja droga, zdecydowałem się na czyn heroiczny, a raczej na stałe postanowienie... nigdy już nie kraść... Tak, moja droga, przemieniam się w innego człowieka... A ponadto chcę również unormować nasz wzajemny stosunek, by nie miał on pozorów przeletności...

Gdy Ewa zrobiła rozczuloną minę, gotowa rozpłakać się, dodał:

— Nie potrzebujesz jeszcze umierać z radości, sapristi!... Ja się swem postanowieniem wcale nie przejmuję! Zdecydowałem się na nie ze względu na mych kochanych przyjaciół, Lewisa Jacksona i Piotra Cartelegue'a... Wyznam ci, że byłoby mi przykro utracić ich... Z drugiej strony zdaję sobie zupełnie sprawę z tego, że jeżeli traktują mnie jako towarzysza, to tylko dzięki tym dramatycznym okolicznościom, jakie nas złączyły... Gdy okoliczności te miną, przypomną sobie mój zawód, że jestem pickpocketem, chloroformistą, włamywaczem i sto sunki nasze przerwą się... Chcę uniknąć tego! Nasz dobry miliarder traktował mnie wczoraj jak swego przyjaciela... A widzisz! Czy uwierzysz, że byłem tem rozczulony? To jedno słowo jego sprawiło wszystko... A ja nie czynię nigdy nic połowicznie, z chwilą gdy zostaję uczciwym, będę uczciwym aż do końca swych paznogci! Przekonasz się!

Joe Smith ze wzruszeniem ramion przyjął twier dzenie Ewy.

— Na zawsze? — powtórzył.

— Tak mi przyrzekł!

— Takie przyrzeczenie jest to bilet na podróż do nieba!

— Pan nie wierzy w to?... Dobrze! Mniejsza z tem!... A teraz proszę pana wyjść...

I palcem wskazała mu drzwi.

— Przypuszczając nawet, że on nie kłamał — zaczął znowu Jankes — to i tak los pani nie jest godzien pozazdroszczenia. On niema innych środków do życia, jak tylko kradzież, jeżeli się jej wyrzeknie, będzie pani w biedzie.

— Pan jeszcze tutaj?

Na korytarzu rozległo się wołanie:

— Smith! *Hallo!* Smith!

Lewis Jackson szukał swego sekretarza.

Smith pośpieszył do drzwi i otwierając je, znalazł się naprzeciw miliardera.

— Ach! pan był z panią! — rzekł Lewis Jackson. — *Hallo!* Niech państwo posłuchają depeszy, którą dostałem przed chwilą od naszego przyjaciela Panajona.

I zaczął czytać:

„Znalazłem ślad Dureta. Odjechał na statku, zmierzając do Ameryki Południowej. Zdążyłem na czas do kolei na express do Lizbony, który tam spotyka się ze statkiem. Przetnę drogę staremu opryszkowi. Hip! hip! Hurra! E. P."

Businessman złożył depeszę i zwrócił się do Ewy:

— Panajon zarobił sobie milion!... Musi go przyjąć, gdyż inaczej pogniewamy się!... Pozwoli mi pani powinszować sobie. Smith, niech pan złoży życzenia pani.

Lewis Jackson ściskał Ewę za rękę, podczas gdy sekretarz jego wyksztusił z siebie kilka niezrozumiałych słów.

*Well!* — mówił dalej miliarder do Jankesa. — Niech pan zatelefonuje zaraz na dworzec, by przygotowali dla nas ekstra pociąg. Jeszcze raz będziemy gonili expressa. Chciałbym być już w Lizbonie, gdy statek tam dojedzie.

W dwie godziny potem Amerykanie i Ewa jechali znowu w wagonie salonowym z Francyi do Hiszpanii. Piotr Cartelegue był tym razem z nimi. W półtorej doby później dojechali do stolicy Portugalii, do której przed chwilą przybył Południowy express.

Pasażerowie pociągu nadzwyczajnego udali się natychmiast do portu.

Statek spóźnił się trochę i widać go było jako czarny punkt na horyzoncie.

Panajon stanął na straży w miejscu, gdzie wsiadają i wysiadają podróżni. Businessman oznajmił mu, iż jest posiadaczem miliona i by przeciąć wszelką na ten temat rozmowę i nie dopuścić do protestów byłego złodzieja, zaczął mu winszować jego postanowienia. Ewa w czasie drogi opowiedziała miliarderowi o zmianie trybu życia swego przyjaciela. Panajon tak był tem wszystkiem wzruszony, iż łzy przestały mu płynąć z oczu dopiero na widok wjeżdżającego do przystani statku.

Dalsze wypadki odbyły się jak najprościej w świecie. Weszli wszyscy na pokład. Maksym Duret był w swej kajucie. Widząc gości, których wprowadził służący, dostał zawrotu głowy. Potem na dany znak wstał i nie mówiąc ani słowa poszedł z nimi.

Tegoż dnia całe towarzystwo ruszyło w powrotną drogę do Paryża. Zajmowali oddzielny wagon, prezes siedział między Joem Smithem a Panajonem.

— Źle pan robi, odkłada egzekucyę tego opryszka — rzekł były złodziej do miliardera. — On może jeszcze raz próbować ucieczki. Jedziemy obecnie dość szybko... Czy pozwoli pan, bym go wyrzucił z wagonu?

Ewa ledwie powstrzymała okrzyk przerażenia.

Maksym Duret był w stanie zupełnej prostracyi. Nawet nie zadrżał, słysząc propozycyę swego dawnego wspólnika.

Lewis Jackson potrząsł przecząco głową.

— Przyrzekłem jego wnuczce, że będzie żył — rzekł.

— Szkoda! — odparł Panajon.

A po chwili namysłu dodał:

— Ale ja nic jej nie przyrzekałem... Mam zaś i ja pewne prawa do tego starego dziadunia.

— Pan ma jakie prawa do niego?

— Naturalnie! Naprzód chciał mnie zastrzelić, potem otruć nietylko mnie lecz i Ewę... Przytem ja go ostatecznie przytrzymałem. Zdaje mi się wobec tego, że znaczna część jego osoby do mnie należy... By jednak nie zabierać go panu, zadowolę się tylko jego uszami...

— Nie, nie... — odparł poważnie Amerykanin. — Zachowam go całego dla siebie.

Panajon, który również mówił zupełnie seryo, zmarszczył brwi.

— Jakto? — rzekł. — Nietylko że go pan nie zabije, ale nawet zabrania mi pan rozprawić się z nim, nie pozwala mi zabrać sobie jego uszów?... Dobrze! Gdybym jednak przewidział to...

Złodziej był niezadowolony. Było to widoczne.

— Niech pan zgodzi się na mą propozycyę — rzekł po chwili Lewis Jackson. — Prawa, jakie pan ma do tego człowieka, ja kupuję. Zgadza się pan?

— Wcale nie! Nie zgodziłbym się, gdyby nawet pan chciał go kupić na wagę złota!

— Chce pan milion?

— Nie, powiedziałem. To ja go raczej panu dam!

— Co takiego?

— Ten milion, który pan mnie zmusił przyjąć. Ofiaruję go panu w zamian za uszy naszego przyjaciela...

— Nie!

— Bardzo dobrze! Nie mówmy o tem! Lecz człowiek doznaje przykrego uczucia, gdy przez dziesięć dni gonił takiego nędznika, narażał się na otrucie, schwytał go i nie może nawet mieć tej satysfakcyi, by takiego opryszka poczęstować zgrabną nogą! Och! wiem, że ten pościg przyniósł mi pięćdziesiąt tysięcy luidorów... cały majątek... Wolałbym jednak sam je zapłacić, byle tylko przez kilka minut być sam na sam z mym uciekinierem!

— Chce pan dwa miliony? — ofiarował Lewis Jackson.

— Nie! Nie chcę sprzedawać prawa do zemsty. Wolę oddać panu tego opryszka za darmo... Niech pan już tylko mnie nie podkupuje, proszę o to bardzo.

Na tem rozmowa się urwała i nie wznowiła się, chociaż podróż trwała jeszcze półtorej doby. Panajon zwykle tak wesoły, był teraz nie w humorze. Jednem tylko okiem pilnował swego więźnia. Zauważył to Lewis Jackson i zdwoił czujność.

Po przybyciu do Paryża byli złodziej pożegnał się ze swymi towarzyszami, miliarder nie zatrzymywał go.

— Proszę mi wybaczyć — mówił — lecz nie chcę spacerować jawnie po ulicach... Nie bardzo byłoby mi przyjemnie, gdyby schwyciła mnie policya, właśnie w chwili, gdy staję się wzorem uczciwości. Muszę się zakopać w jakiej dziurze, dopóki nie zapomną o mnie. Pamięć o mnie jest świeża.

— Tak... ma pan racyę.

— Do widzenia!

— *Good by!*

Pożegnanie było dość oziębłe. Panajon razem z Ewą siadł do dorożki, Maksym Duret zaś został wprowadzony do samochodu miliardera, który czekał przed dworcem.

## XIX.

Lewis Jackson dał szoferowi adres prezesa.

W czasie drogi rzekł do swego więźnia.

— Przedewszystkiem trzeba odprawić pańską służbę... Nie będziemy tym razem zadawalali się czuwaniem nad panem... Będzie pan zamknięty przez cały swój pobyt w Paryżu, dopóki nie powezmę pewnych dyspozycyi co do pana. Zbytecznem, zdaje mi się jest, by wiedziano, że pan siedzi pod kluczem.

Duma podtrzymywała jeszcze nędznika. Wychodząc z samochodu, starał się przybrać obojętną minę. W kilku słowach wytłómaczył służącemu swe tajemnicze zniknięcie z domu. Zapłacił mu zaraz całą należność, jak również stangretowi i kucharce; dał im jeszcze po sowitym naddatku i wyraził życzenie, by jak najprędzej opuścili jego dom. Służba, przeczuwając, iż rozgrywa się tu jakiś dramat, zebrała pośpiesznie swe rzeczy i wyniosła się zaraz.

Po odejściu służby Lewis Jackson, Smith i Piotr zaczęli szukać pokoju, w którym najłatwiej byłoby pilnować więźnia.

Byli cow-boy po obejrzeniu całego domu oznajmił:

— Spiżarnia wydaje mi się bardzo odpowiednią do tego celu...

— Spiżarnia? — spytał businessman. — Obok kuchni?

— Może nie jest dość wygodna?

— Mniejsza z tem...

— Ze wszystkich pokoji najwięcej nadaje się na celę.

Poszli wszyscy razem obejrzeć spiżarnię. Był to mały pokói o okratowanem grubemi sztabami oknie, wychodzącem na tył willi. Miał on dwoje drzwi, jedne prowadzące do kuchni, drugie do westibulu. Umeblowanie jego składało się ze stołu, z szafy z białego drzewa, z krzesła, lodowni i kredensu.

— Siedząc w westybulu — mówił dalej Joe Smith — i pozostawiając kuchnię otwartą, będziemy mieli przed oczami jedne i drugie drzwi, które zresztą będą zamknięte na klucz.

— *All right!* — zgodził się na ten plan miliarder.

Maksym Duret został zaraz wprowadzony do swego prowizorycznego więzienia, w którem spra wdzono przedtem dokładnie okno i kraty. Potem drzwi zamknięto za nim i dwóch jego dozorców stanęło we wskazanem przez Joego Smitha miejscu.

— Dwóch z nas musi być zawsze na straży — rzekł Piotr.

Wieczorem przyniesiono więźniowi materac, poduszkę i kołdrę.

Na drugi dzień rano Lewis Jackson, który noc spędził w fotelu, znalazł swego więźnia na krześle przy stole z głową opartą na rękach i wzrokiem utkwionym przed siebie. Siedział tak nieruchomo od kilku godzin, szukając jakiego sposobu ucieczki.

— Duret — rzekł mu miliarder — dzisiaj wieczorem opuści pan Paryż. W czasie dnia odwiedzi pana może pańska wnuczka. Nie chcę być gorszym od zarządów więzień, które pozwalają skazanym na ostatnie widzenie się z rodziną. Jeżeli panna Lagunan zechce, pozwolę jej przybyć do pana.

Prezes nic na to nie odpowiedział. Lewis Jackson opuścił go, zamykając za sobą uważnie drzwi. Polecił jeszcze swym dwom towarzyszom, by pilnie uważali i wyszedł. Przed willą czekał na niego samochód. O kilka metrów z boku stała skromna dorożka samochodowa, której szofer czytał jakąś sportową gazetę. Businessman siadł do swego samochodu i kazał prędko jechać. Miał dużo rzeczy do załatwienia. Nie udał się jednak do domu, lecz przejechał lasek buloński, minął drogę wersalską i skręcił na drogę do Meudon. Wkrótce znalazł się koło willi, którą wynajął Panajon. Poprzednio jeszcze kazał mu opowiedzieć dokładnie, gdzie ona się znajduje.

Zatrzymał się koło bramy wjazdowej i zadzwonił. W chwilę potem uchyliły się drzwi, w których ukazała się mała żółta głowa w czerwonym fezie. Lewił Jackson poznał Turka, o którym nieraz opowiadał mu Panajon i zrobił ruch, jakby chciał wejść.

Ahmed jednak innym ruchem wskazał, że jest to niemożliwe. Miliarder nie nalegając, siadł z powrotem do samochodu. Dowiedział się już czego chciał. Pani de Lagunan była ciągle pod strażą tego nielitościwego dozorcy.

— Avenue du Bois! — rzucił Lewis Jackson adres swemu szoferowi.

Samochód pomknął w powrotną drogę do Paryża. Po przybyciu do swego pałacu, miliarder poszedł naprzód obejrzeć pracę trzech portrecistów. Malowali oni z zapałem. Dzieło ich znacznie posunęło się naprzód. Magdalena Maixent na każdem płótnie wyglądała tak żywo, iż Amerykanin wyszedł pospiesznie, by nie zdradzić się z wzruszeniem, jakie go opanowało. Potem udał się do Ludwiki, której stan był prawie bez zmiany i wziął na bok Kamillę.

— Moje drogie dziecko — rzekł do niej — dzisiaj wieczorem zabieram z sobą pani ciotecznego dziadka.

— Jest on jeszcze w Paryżu? — zapytała młoda panna, blednąc nagle i drżąc lekko.

— Tak.

— Ach! Myślałam, że pan go już wywiózł.

Nie wiedziała jeszcze wcale o ucieczce nędznika i pogoni za nim.

— I dokąd pan jedzie? — pytała dalej słabym głosem.

— Och! Nie na koniec świata... O kilkaset stąd kilometrów... Do Bretanii... Tam skazany dokończy swego życia w odosobnieniu.

— Pan go będzie więził? — szepnęła Kamilla.

— Czy nie zasłużył on na coś gorszego?

— A matka moja? — zapytała lękliwym głosem młoda panna.

— Schroni się do klasztoru. Będzie pani mogła ją odwiedzać... przez klasztorne kraty. Co zaś do pani dziadka, to będzie on żył w zupełnem osamotnieniu... Widzieć go pani może tylko dzisiaj... o ile pani tego pragnie.

— Gdzie on jest?

— U siebie... w willi przy bulwarze Bineau... lecz zamknięty na klucz i silnie strzeżony... Jeżeli zechce pani iść do niego, to Piotr i mój sekretarz, którzy są już uprzedzeni, puszczą panią.

Kamilla nie zaraz odpowiedziała. Gładkie jej czoło zmarszczyło się. Namyślała się, wreszcie rzekła powoli:

— Moim obowiązkiem jest iść tam...

(Dalszy ciąg nastąpi)

# Zagadki do nagrody.

### Arytmograf.

Ułożył C. Dorożyński, Warszawa.

Kwadraty i cyfry zastąpić odpowiedniemi literami. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, poda nam imię i nazwisko najwybitniejszego matematyka polskiego obecnej doby.

| | | | | | | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| 1 | 2 | 3 | 4 | 5 | □ | 4 | 6 | 7 | 8 | 9 |
| 9 | 10 | 9 | 7 | 11 | □ | 12 | 10 | 1 | 13 | 2 |
| | 7 | 4 | 5 | 14 | □ | 10 | 15 | 4 | 16 | |
| | 9 | 5 | 17 | 4 | □ | 15 | 18 | 10 | 9 | |
| | | 16 | 15 | 12 | □ | 13 | 4 | 6 | | |
| | | 8 | 4 | 16 | □ | 12 | 15 | 5 | | |
| | | | 2 | 18 | □ | 13 | 18 | | | |
| | | | 8 | 20 | □ | 18 | 6 | | | |
| | | | | 21 | □ | 14 | | | | |
| | | | 5 | 4 | □ | 1 | 10 | | | |
| | | | 5 | 9 | □ | 1 | 20 | | | |
| | | 13 | 14 | 1 | □ | 5 | 13 | 20 | | |
| | | 22 | 12 | 23 | □ | 13 | 18 | 24 | | |
| | 16 | 15 | 25 | 15 | □ | 17 | 9 | 5 | 15 | |
| | 15 | 9 | 16 | 1 | □ | 2 | 1 | 4 | 7 | |
| 5 | 9 | 16 | 16 | 4 | □ | 26 | 12 | 16 | 16 | 4 |
| 16 | 1 | 21 | 10 | 18 | □ | 9 | 2 | 16 | 12 | 10 |

*Znaczenie wyrazów:* 1. Niedokładność. 2. Błąd w oznaczaniu czasu jakiegoś wydarzenia. 3. Autor Don Kichota 4. Republika w Ameryce. 5. Osada w gubernii siedleckiej 6. Ryba. 7. Zwierzęta domowe (szkodniki). 8. Narząd smaku 9. Zwierzę drapieżne. 10. Ryba morska. 11 Część ciała. 12. Istota organiczna. 13. Miasto w guberni płockiej. 14. Miasto w Wirtembergii. 15. Pasorzyt ludzki i zwierzęcy. 16. Artysta francuski. 17. Powieść Orzeszkowej.

### Zadanie do przestawienia.

Ułożył M. Tristis, Lwów.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Ponoś, świecie, tani, ń.

### Logogryf.

Ułożył St. Werstak, Warszawa.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby pierwszy rząd pionowy, czytany z góry na dół, utworzył nazwisko znakomitego rzeźbiarza polskiego.

□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —

*Znaczenie wyrazów:* 1. Pułkownik-poeta, bohater z r. 1809. 2. Miasto w Galicyi. 3. Ptak z rzędu wróblowatych. 4. Boginie zemsty i złego sumienia u starożytnych Greków. 5. Roślina ogrodowa. 6. Miasto w Macedonii. 7. Najznakomitszy poeta indyjski z VI. wieku po Chr. 8. Inaczej oznaki władzy, urzędu lub dostojeństwa.

### Zadanie do przestawienia.

Ułożył M. Tristis, Lwów.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Bond, lawa, prana, ch, fides, muza.

### Szarada.

Ułożył J. K. Januszewski, Kraków.

Gorąco, bo blask słońca tak mocno dziś pali,
Lecz wkrótce błękit nieba chmurą się powleka,
Powstał wiatr. Już pasterze wracają z oddali,
Z pól i lasów już każdy do chaty ucieka.
Nawet pszczoły w swe *pierwsze* i *drugie* wlatują
I śpiewaków powietrznych gromada strwożona
Do gniazd leci. Jaskółki nad wodą się snują
A niebios *druga-trzecia* wciąż chmurzy się strona,
Wreszcie cały horyzont zajęły ciemności.
W chwil parę cała ziemia od huku zadrgała,
Błyskawice, pioruny szalały w wściekłości
A dla grozy zwiększenia przyszła jeszcze *cała!...*

### Zagadka.

Ułożył J. K. Januszewski, Kraków.

Wprost na plecach widzicie,
Jak niesie ubogi,
Wspak zawsze zobaczycie
Obok ulic i drogi.

### Trójkąt magiczny.

Ułożyła Br. Rutkowska, Piotrków.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby pierwszy rząd pionowy i poziomy podały imię i nazwisko jednego z królów polskich.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

*Znaczenie wyrazów:* 1. Szukany wyraz. 2. Imię męskie 3. Miasto okręgowe w prowincyi Zabajkalskiej. 4. Rzeka w gubernii Suwalskiej. 5. Osada w gubernii Piotrkowskiej. 6 Owoce południowe. 7. Imię żeńskie. 8. Wulkan w Europie. 9. Znany minerał 10. Przyimek. 11. Samogłoska.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: *E. de Amicis:* **Holandya.** Wspomnienia z podróży.

Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.